



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: A posteriori. — Układy z Rzymem. — Stara Pompadurowa p. Szczedryna. — Oczyszczanie języka. — Emil Girardin p. A. Sygietyńskiego. — Leopoldina VII. p. Juniusa. — Urywki z poematu Słowackiego Pan Tadeusz. — Rocznik zbiorowy prac naukowych p. Wł. G. i B. — Boerowie i Transvaal. I. — Liberum veto. — Muzyka. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenie.

A POSTERIORI.

Przy wszelkich obrachunkach naszych z prasą rosyjską nie powinniśmy nigdy zaniedbywać wypłacenia długu wdzięczności tym jej organom, które część swej szerszej swobody publicznego słowa zużytkowały na obronę spraw naszych. A przyznać musimy, że oprócz pism p. Katkowa, który przed dwudziestu laty głosił, że „w oczach cokolwiek rozumnego człowieka nie wstydem, ale zaszczytem jest należeć do narodowości polskiej,” a dziś tę swoją formułę polityczną, jak wszystkie wreszcie, naopak wywrócił; oprócz kilku dalej pokrewnych mu i półobłąkanych dzienników, — większość prasy rosyjskiej okazuje względem nas należytą z jej stanowiska sprawiedliwość. Ważniejsze objawy tej sprawiedliwości zapisujemy; dziś właśnie mamy do zaznaczenia głos jednego z najczujniejszych pism petersburskich, *Nowosti*, w sprawie, która należy do bardzo poważnych a ostatnimi czasy kilkakrotnie zwróciła na siebie uwagę opinii i rządu. Mówimy o zabronieniu polakom kupowania majątków w tak zwanych prowincjach zachodnich Cesarstwa. Otóż *Nowosti* zastanawiają się nad skutkami tego interdyktu ze strony ekonomicznej, która, ich zdaniem, przedstawiła dowody bardzo wymowne. Prawo to — powiadają one — mające na celu ułatwienie kupna majątków ziemskich we wzmiankowanych guberniach rosyanom, bardzo słabo przyczyniło się do spełnienia tego zadania, gdyż nadzwyczaj mała liczba rosyjskich rolników-kapitalistów przeniosła tam swoją działalność. Jedni, nie znając warunków miejscowych, bali się ryzykować kapita-

łów; drudzy znowu, jak np. wielu ze służących tamże urzędników, pozyskawszy ulgi w nabywaniu majątków, po większej części nie posiadali ani potrzebnych dla rolnika wiadomości, ani też środków dla prowadzenia gospodarstwa; trzeci wreszcie, ułudząc się złudną łatwością nabycia wielkich majątków za nieznaczne kapitały, kupując dobra, nieodpowiadające ich środkom materialnym i wymagające wielkich wkładów na zakup inwentarza roboczego, narzędzi rolniczych i t. d., — odrazu znaleźli się w konieczności niszczenia majątków przez wyrąb lasu i sprzedaż pojedynczych źródeł dochodu. Łatwo pojąć, że dobra wielu tych nabywców dawno już zostały posprzedawane przez licytacye lub po-przechodziły na własność ludzi bardziej przedsiębiorczych. Wiadomości o niepowodzeniach tych pionierów jeszcze bardziej przestraszyły niedowierzających rosyjan-kapitalistów i w ich miejsce pojawili się poszukiwacze łatwego zysku. Tych spekulantów można spotkać całymi tłumami na wszystkich licytacjach. Jak tylko dowiedzą się o sprzedaży jakich dóbr, natychmiast dają na nie zadatek, następnie zastawiają dobra w banku, wycinają las, sprzedają częściowo małe kawałki gruntu i zrujnowawszy w ten sposób jeden majątek, spieszą odbyć tę samą operacyę na drugim, trzecim i t. d. Właściciel zaś sprzedając majątek, zwykle otrzymuje jedynie zadatek, resztę zaś szacunku odbiera powoli ratami w miarę sprzedaży lasu i t. p., przyczem do chwili ostatecznego uregulowania należności ma prawo, według osobnej umowy, kontrolować rozdrabnianie swojego majątku. Pomimo tak niedogodnych warunków właściciele polacy, zmuszeni okolicznościami lub, w razie spadku, działem familijnym do sprzedaży majątku (według bowiem obowiązującego tam prawa, po śmierci ojca,

jeden syn nie może dziedziczyć całego majątku z warunkiem spłaty rodzeństwu ich udziałów, ale musi ono być podzielone wedle liczby dzieci, które otrzymują nieraz tak małe części, że spadkobiercy zmuszeni są sprzedawać cały majątek, nie mogąc korzystnie prowadzić gospodarstwa) nieuchronnie stają się pastwą lichwiarzy. Polak dóbr kupić nie może, kapitalistów rosyjskich niema, pozostają przeto albo szukający łatwego zysku, albo Niemcy nadbaltyccy, nieodznaczający się zbyt wielką wspaniałomyślnością, albo wreszcie nasi dobrzy przyjaciele z nad Sprei. Zresztą i ostatnie dwie kategorie nabywców wolą kupować dobra na licytacjach przy sprzedaży ich za długi banków, wskutek czego największa liczba transakcyj dokonywa się z ludźmi pierwszej kategorii, którzy wszelkimi sposobami obdzierają rolników. W gubernii kowieńskiej np. pewien zniemczony Łotysz, zaczawszy z pięcioma tysiącami rubli, przy pomocy banku, wyrębu lasu i t. d., nabywając dobra za dobrami, w przeciągu 7 — 8 lat dorobił się olbrzymiego majątku. Przez ręce jego przeszło już trzydzieści dóbr, a niedawno nabył jeszcze jedno wielkie za 300,000 rs. Przykład ten, charakteryzujący działanie jednego takiego aferzysty w jednej tylko gubernii, może dać pojęcie o rozmiarach szkód, wyrządzanych w tymże kierunku krajowi przez jego współobywateli. Zresztą pogoń za łatwym zyskiem przynęca nawet miejscowych mieszkańców, występujących w tego rodzaju interesach pod firmą rosyjan lub Niemców. Ostatecznie prawo, zabraniające osobom urodzonym w guberniach północno- i południowo-zachodnich nabywać w nich dobra ziemskie, ułatwiło osiedlenie się w tych prowincjach bynajmniej nie żywiołowi rosyjskiemu, lecz wszelkiego rodzaju aferzystom, rujnującym miejscowe rolnictwo i wytrzebiamym do reszty bogate lasy. Ale

przez nienormalność tego położenia, brak kapitałów rosyjskich i niski kurs rubla, wzmógł się żywioł niemiecki. Nietylko bowiem Niemcy nadbałtyccy, w skutek wielkiej bardzo taniości ziemi, wywołanej ograniczeniem przez prawo konkurencji, spieszają jako nabywcy majątków, ale i Niemcy zagraniczni, korzystając z niskiego kursu rubla, coraz więcej ziemi kupują w tych prowincjach. W gazetach niemieckich ciągle ukazują się ogromne ogłoszenia, zachęcające do nabywania ziemi w guberniach zachodnich, wskazując mianowicie na brak współzawodnika i niski kurs rubla. Są już obecnie okolice, gdzie cała połowa powiatu jest w ręku Niemców. Jeżeli oni teraz już bez żadnej ceremonii uważają gubernie nadbałtyckie za część swojego *Vaterlandu*, to cóż stanie się z guberniami północno i południowo-zachodnimi, gdy nowy napływ Niemców da im w tych guberniach przewagę nad innymi narodowościami? —

Nie będziemy rozwiązywać tego pytania, na które odpowiedź pozostawiamy moskiewskiemu słowianofilom. Niech oni pogodzą to wydziedziczenie żywiołu słowiańskiego na korzyść Niemców ze słowiańską misją. Zresztą pomijamy tę sprawę zbyt idealnej natury i zwrócimy uwagę na interesu materyjalne. Mianowicie ze smutnych rezultatów ciążącego na żywiole polskim w prowincjach zachodnich interdyskursu wywiązuje się nader poważna kwestya: czy przy dzisiejszym stanie ekonomicznym państwo może i powinno dobrowolnie się zubożać, otwierać swobodne pole gospodarstwu pierwiastków moralnie zepsutych a materyjalnie niszczących? Czy nie należy podnieść czynników zdrowych i produkcyjnych, jakimi bezwątpienia są polacy w guberniach południowo-zachodnich? Jeśli nas znaki nie mylą, jednym z głównych przedmiotów obecnego namysłu sterników nawy państwowej jest wytworzenie najprzyjaźniejszych warunków dla

rozwoju ekonomicznego, który w wielu kierunkach zatamował się bardzo niebezpiecznie i szkodliwie; do tego zaś celu nie prowadzi inna droga, tylko wyzwolenie z ograniczeń i równouprawnienie wszystkich elementów państwa. Nie będziemy tu spierać się, czy prawa wyjątkowe, jako środki przechodnie, przynoszą pewne korzyści; to tylko pewna, że one jako trwała zasada prędzej lub później wyrządzają wielkie szkody. Pomijając ten wzgląd, że wszelkie powody dotychczasowych praw w wyżej dotkniętym zakazie dawno już znikły, interes Rosyi, zajętej tłumieniem żywiołów rewolucyjnych, wymaga zapewnienia spokojnym jaknajstaranniejszej opieki. Odezuły to zapewne sfery wyższe, skoro, jak wiadomo, nawet w nich odzywała się kilkakrotnie myśl przywrócenia Polakom w prowincjach południowo-zachodnich praw zawieszonych. Konieczność takiego kroku jest już dowiedziona — *a posteriori*.

UKŁADY Z RZYMEM.

Kolumny prasy dziennej wyciera od pewnego czasu wieść o nowopodjętych układach rządu rosyjskiego z Rzymem. Wieść ta musi być wiernem echem, skoro ją potwierdził pośrednio półurzędowy *Journal de St. Petersbourg*. Według niego i innych pism, które zajęły się wyjaśnieniem tej nader zagadkowej sprawy, rysuje się ona w głównym konturze tak: pp. Masołow i Butieniew, delegaci rosyjscy, przedstawili papieżowi *jakiś* propozycję, będącą podstawą toczących się narad; jednocześnie zakryte przejrystą bezimiennością kółko Polaków galicyjskich zamierza przesłać Stolicy Apostolskiej memoriał w imieniu rodaków-katolików, ostrzegający ją przed niebezpieczeństwem wszelkiego porozumienia.

Wiadomość o tym memoriale podał *Journal de St. Petersbourg* oraz pisma galicyjskie, między którymi krakowski *Czas* wystąpił z energiczną naganą. „Przedewszystkiem — powiada on (według *Głosu*) — musimy zwrócić uwagę na niewłaściwość takiego działania. Każdy, kto zna dyplomatyczne zwyczaje, wie o tem, że wszelkie memoriały, mające nadzieję powodzenia, nie powinny być ogłaszane i rozgłaszane; wymaga tego taktyka dyplomatyczna i sam szacunek dla państwa lub rządu kraju, dla których memoriał jest przeznaczony. Zarówno przeszłe jak obecne położenie kościoła katolickiego w Rosyi znanem jest dobrze Stolicy Apostolskiej i nigdy nie dawał się czuć brak kompetentnych obrońców naszych spraw. Za dowód posłużyć może cały szereg (!) aktów, wydanych przez Stolicę Apostolską; świadczyć o tem także mogą układy z dyplomatami rosyjskimi, które ciągną się już dwa lata i prowadzą się z taką trudnością, ponieważ Stolica Apostolska dobrze zna położenie sprawy, a zatem wie, co może przynieść pożytek a na co zgodzić się się nie można. „Powinniśmy ostrzedz katolików — kończy *Czas*, że, jeżeli nie chcą zaszkodzić sprawie; jeżeli nie chcą wogóle sparaliżować układów, mogących przynieść rzeczywiste ulgi, i działać na szkodę sprawy; jeżeli nie chcą obudzić szczerości na szkodę naszych uczuć i żądań — niech nie podpisują tego memorandum.“

Z tej prawomyślnej łupiny wyluskać można dwa jedynie ziarna: 1) że rząd rosyjski prowadzi *jakiś* układy z Rzymem i 2) że Stolica Apostolska broni naszej sprawy i pragnie wywalczyć kościołowi „rzeczywiste ulgi“, odpowiednie naszym „uczuciom i żądaniom.“ Ponieważ ani dzienniki rosyjskie, ani organ krakowski nie mówią nam wcale o przedmiocie tych układów, więc chcąc odgadnąć, trzeba go wyliczyć rachunkiem prawdopodobieństwa z naszych

STARA POMPADUROWA

przez

M. E. Sałtykowa (Szczedryna).

3)

— Przynieś mi, Szymonie, tej rybki — wiesz? Rozkazał komisarz w przedpokoju. A pani, Nadziejo Piotrówno, zawsze we łzach jeszcze! Mateczko! Gołabeczko! Ale cóż to znaczy? — dodał, wchodząc do pokoju. No, popłakałaś pani, no i basta! Czemu psuć te oczki, te oczki?

— A tak, nie mogę przekonać! — wtrącił Blamanget.

— Dopóty, dopóki... — rzekła Nadzieja Piotrówna i urwała.

— No tak, racya! Ale należałoby, paniusiu, i o nas grzesznych także pomyśleć!

— Cóż mogę uczynić! Teraz rola moja...

— Nadzieja Piotrówna opuszcza głowę.

— A ja coś powiem paniusiu! — uparcie ciągnął dalej komisarz — zamiast gnębić się przed tym bałwanem, przebac mi Boże, wzięłaby pani cugle... Ot co, paniusiu!

— Lecz Nadzieja Piotrówna, jak dawniej, stale patrzyła na starego pompadurę.

Ja bo, paniusiu, dziś jeszcze miałem szczęście donieść...

Komisarz westchnął.

— I cóż? — wtrącił Blamanget.

— A no, — powiada, że jeżeli pani chce się sprzeciwić, to trudno!... To niepięknie Nadziejo Piotrówna! Przed Bogiem odpowiesz pani za to! Tak!

Ale ona wciąż milczała i zdało się, że w oczach patrzącego na nią pompadurę, czerpała coraz więcej moralnej stałości. „Nadokazywał i pojechał!“ — myślała.

— W tem rzecz właśnie — ciągnął komisarz, jak gdyby przeczuwając jej myśli: — on wyjechał, brońmyż się, jak umiemy!...

— Ja ciągle jej to powtarzam! — tłómaczył się Blamanget: — i nie ja jeden, lecz całe towarzystwo!

Ale Nadzieja Piotrówna nie chciała słuchać. Zerwała się z krzesła i jak raniona tygrysica przyskoczyła do komisarza.

— Zapomniałeś pan, *kto* mnie kochał? — zawołała. Ale ja... ja pamiętam! Ja wszystko pamiętam!

I z temi słowy dumnie wyszła z pokoju.

Próby jednak nie ograniczyły się na tem. Coraz częściej zaczęły odwiedzać Nadzieję Piotrównę panie miejscowe, a każda bezwarunkowo zaczynała rozmowę o nowym pompadurze. Niektóre mówiły nawet, że zaczyna już nadszakiwać.

— Jaka szkoda, że niema przy sobie... *vous savez?* — dodała przytem jakaś złośliwa damka.

— Nie, nie wiem! — odparła Nadzieja Piotrówna z zadziwiającą obojętnością.

— No, tego... Jakby się lepiej wyrazić... przewodniczącego...

— A!

Nastąpiła epoka obiadów i balów. Nadzieja Piotrówna trzymała się ostro i nie spuszczała oka z portretu starego pompadurę. W mieście zaczęto opowiadać sobie w sekrecie, że nałożyła na siebie kajdany.

— *Mais enfin, cela commence à devenir ridicule, ma chère!* — mówiły jej przyjaciółki, zapraszając do przyjęcia udziału w ogólnych uroczystościach.

— Nie wiecie, *mesdames*, *kto* mnie kochał! — odpychała zazwyczaj: — ale ja... ja wiem! O! Ja wiem bardzo wiele!

— To wszystko dobrze!... *C'est sublime, il n'y a rien à dire!* Ale przecie — wszystko ma swój koniec!

— Ja tak znią mam codziennie! — wtrącał przytem radca dworu Blamanget, który ostatnimi czasy stopił się, jak świeca.

W istocie jednak, serce jej powoli zaczynało się poddawać. Zaczęła już analizować fizyognomię starego pompadurę, i znajdowała, że jego nos!...

— Ach, *ma chère*, spojrz pani tylko jaki on ma dziwnie śmieszny nos!... — mówiła do Olgi Siemionówny.

— Dziwię się, żeś pani tego dawniej nie spostrzegła, — odparła pani Prochodimcewa, która ze swojej strony także używała wszelkich środków, ażeby zmusić Nadzieję Piotrównę do zapomnienia o przeszłości.

— I usta ma niezbyt mądre!

I oto, razu pewnego, odważyła się nawet, wyjrzeć przez okno... O, zgrozo! Spostrzegła nowego pompadurę, który szedł przez ulicę, mrucząc pod nosem:

L' amour — qu'est que c'est que ça, mamselle?

L' amour — qu'est que c'est que ça?

„uczuć i żądań.“ Naturalnie dla dopełnienia takiego rachunku musimy przenieść się myślą na stanowisko religijne: otóż zachodzi pytanie, czego, jakich „ulg“ w obecnych warunkach pragnąć mogą katolicy polscy w państwie rosyjskiem? Kościoły dawne posiadają a nowe wznosić mogą; każda parafia posiada księdza; religia jest wykładana we wszystkich szkołach; kazania nie podlegają żadnej kontroli; obrządku religijne dopełniają się z zupełną swobodą; księża nie potrzebują składać żadnych egzaminów państwowych i służyć w wojsku, a zależą wyłącznie od władz duchownych; swoboda stowarzyszeń pobożnych nie ulega żadnym prawie ograniczeniom — słowem niemiecki *Kulturkampf*, lub francuska walka kościoła z państwem u nas nie istnieje. Jeżeli zaś nie istnieje, to ani katolicy z tej strony nie mają żadnych „żądań“, ani rząd powodu zadawalniania ich z pomocą Rzymu. W obecnem położeniu kościoła polskiego tkwią tylko dwie istotne różnice od jego warunków poprzednich, dwa punkta, mogące dostarczyć materiału do układów z Watykanem: 1) los usuniętych dawniej z kraju księży i 2) przerwanie bezpośrednich stosunków z papieżem. Obie jednak te sprawy nie są chyba przedmiotem wzmiankowanych wyżej targów. Bo naprzód, gdyby rząd chciał powrócić z wygnania duchownych, mógłby to uczynić samodzielnie, bez porozumienia się ze Stolicą Apostolską; powtóre owo przerwanie stosunków bezpośrednich nie jest wcale dla ludności katolickiej kwestyą wielkiej wagi i nie wytwarza żadnej bolesnej w jej uczuciach rany. I w tych zatem odmianach stanu poprzedniego nie możemy doszukać się klucza, otwierającego nam zagadkę rozpoczętych w Rzymie przez rząd rosyjski układów. Pojmujemy tego rodzaju wieści w Niemczech. Tam państwo zapomocą ustaw majowych zupełnie oświadczyło kościołom, mnóstwo parafii osieroconych, księ-

ża poddani są pod zwierzchnictwo cywilne, nadewszystko zaś broniąca ich interesów partya stanowi potężną w sejmie opozycyę, która ciągle rzuca rządowi kije pod nogi i przyczynia się do jego upadków; tam więc porozumienie się z Watykanem jest sprawą pierwszorzędną wagi dla stron obu. Ponieważ zaś u nas ani materiału do opozycji, ani samej opozycji niema, więc niepodobna zrozumieć sfinksy, który od kilku tygodni zadaje prasie do rozwiązania dziwną zagadkę. Mimo wszystkich min, jakie robią organa „dobrze poinformowane“, jesteśmy najmocniej przekonani, że zadanie delegatów rosyjskich nie jest owym organom znane. Dowodem są przeróżne *balans d'essai*, puszczone dla wyprobowania tego lub innego domysłu, dowodem ciągle auskultowanie pism urzędowych dla wysłuchania z nich prawdy. Nawet dzienniki rosyjskie, mające największą sposobność podpatrzenia tajemnicy, strzelają na oślep. Tak np. *Moskowsk. Wiedomosti* doniosły przed kilku dniami, że przedmiotem układów z Watykanem jest zamianowanie nuncjusza papieskiego w Petersburgu. Ale i ta kaczka niedługo pływała po wodach dziennikarskich, bo zaraz ją *Journal de St. Petersbourg* zastrzelił wyraźnem zaprzeczeniem.

Jeżeli nie należy ze sprawą tą rozstać się bez hipotezy, to odważymy się na takie tylko przypuszczenie: delegaci rosyjscy pragną uzyskać od papieża zgodę na wzmocnienie władzy państwa wobec kościoła katolickiego, a publicyści galicyjscy spodziewają się wzmocnienia władzy kościoła wobec państwa. Taki domysł tłumaczyłby nam z jednej strony pobudki rządu rosyjskiego, a z drugiej — nadzieję „rzeczywistych ulg“, wyrażoną w *Czasie* krakowskim i owo *psst!*, jakim uciszyć pragnie głos memoriału. Jeżeli pełnomocnicy rosyjscy zobowiążą się do powrócenia wygnanych księży i dozwolenia duchowieństwu na bezpośrednie

stosunki z Rzymem (a jak widzieliśmy takie tylko „ulgi“ byłyby „rzeczywiste“), to ponieważ rząd mógłby to uczynić samodzielnie, nie po to, więc chyba wysłał swych przedstawicieli do papieża, ażeby od niego uzyskać aprobatę na zrobienie mu ustępstwa, lecz po to ażeby owo ustępstwo wymienić na inne ustępstwo. Jakie jest ofiarowane — odgadnąć możemy, ale jakie jest żądane — nie wiemy, a w tem właśnie tkwi główny punkt ciężkości całej sprawy.

OCZYSZCZENIE JĘZYKA.

I znowu z kilku pism ozwały się narzekania na zepsucie i zanieczyszczenie mowy naszej, na zamęt w pisowni: „stary pedagog“ zabrał głos w *Tygodniku Ilustrowanym* (i osobnej odbitce), p. L. Szczerbowicz-Wieczor w książeczce (*O skażeniu języka polskiego w prasie*, Płock), wreszcie p. rb. dumający nad nią w *Bibl. Warszawskiej*. Głosy te nie w jednym biegną kierunku: pierwszy domaga się ustalenia ortografii, dwa pozostałe wymiatają z języka obce naleciałości, które prasa pełną garścią do niego sypie. Zastanówmy się naprzód nad oczyszczającymi augiaszową stajnię naszego dziennikarstwa. „Prasa ma przezwątnie — mówi sprawozdawca *Bibl. Warszawskiej* — pedagogiczne zadanie względem swoich czytelników. Jak pod względem życia praktycznego wskazuje społeczeństwu drogi do jego uszczęśliwienia, tak ze stanowiska inaukowego i narodowego stać powinna na straż czystości i poprawności ojczystej mowy.“ Miło nam bardzo z ust p. rb. usłyszeć te wzniosłe wyrazy; nacieszywszy się jednak ich brzmieniem, musimy przepuścić je przez kilka pytań. A naprzód, czy dziś można mówić o „prasie“, jako o gałęzi piśmiennictwa, spojonej wspólnem „zada-

Był tak piękny, że się zapatrzyła pomimowoli. Brunet, niedużego wzrostu, zbudowany jednak nadzwyczaj proporcjonalnie, zdawało się, że był stworzony do rozkazywania i czarowania. Na lewym policzku miał malutką brodawkę (ona wszystko spostrzegała!) a nad ustami gładki ciemny wąsik, który od czasu do czasu przygryzał. Jego piękność była wcale innego gatunku, niż piękność starego pompadury. Tamten miał i nos i usta takie miękkie, takie śmieszne, że aż korciło zgnieść je, zmiąć, a potem nawet pocałować. Nie za piękność jednak pocałować, ale za śmieszność. U tego przeciwnie, wszystko było silne, wszystko świadczyło o stałości, uporze i energii.

Ale oto przybliżyła się coraz bardziej, coraz bardziej, już się zrównał z domem Nadziei Piotrówny; jego chód chwieje się, chwieje... już się zatrzymał... bierze za rączkę od dzwonka... Nadzieja Piotrówna, niespokojna, drżąca, pobiegła pod obronę starego pompadury. Blamanet raz jeszcze dowiodł swej pojętności, opuściwszy dom co żywo.

— Pani mi wybaczy, miła Nadziejo Piotrówna, — mówił za chwilę pompadur swym ponętym głosem: — do takiego stopnia szanowałem smutek pani, że nie ważyłem się myśleć nawet o niepokojeniu jej swemi odwiedzinami. Ale proszę mi darować, że moja niecierpliwość... owe pochlebne zdania... gdybym mógł tylko słuchać głosu mego serca...

Ale Nadziei Piotrówny szumiało w uszach. Oparła wzrok swój na portrecie

i zdawało jej się, że stary pompadur rzucał na nią stamtąd oczyma.

— Wierżaj mi pani, — dźwięczał dalej ten sam miodowy głosiczek: — że jednak bynajmniej nie byłem biernym widzem jej nieszczęścia. Pan komisarz zechce bezwątpienia upewnić panią, że kazałem niejednokrotnie, a nawet upierałem się, aby uczyniono dla pani wszystko, co można... dość, że robiłem to, co zależało od mojej władzy...

Nadzieja Piotrówna siedziała wciąż nieruchoma, jak gdyby ją zmora męczyła.

— Jednakże, jest to dla mnie bardzo dotkliwem, — brzęczał pompadur: — więcej powiem... jest to dla mnie nawet bolesnem, że pani... jakby przemennie... pozbawia towarzystwo, że tak powiem, jego najpiękniejszej ozdoby! Naturalnie, ja... moje zalety... Nie mogę się pochwalić doświadczeniem...

— Nie! Pana chwała! — szepnęła Nadzieja Piotrówna, nie rozumiejąc prawie co mówi.

— Towarzystwo jest dla mnie zbyt łaskawe! Naturalnie, wszystko, co odemnie zależy... gotów jestem życie poświęcić... ale w każdym razie, miła Nadziejo Piotrówna, pozwól mi pani odejść z przyjemną myślą... albo raczej nadzieją... że pani nie zechcesz mnie zasmucać, pozbawiając towarzystwo, że tak powiem, jego najpiękniejszej ozdoby.

— Ja... jeżeli pan rozkaże!... — odparła z poprzednią nieprzytomnością.

— Nie rozkazuję — lecz proszę!

Wziął jej rękę i pocałował.

— To, zdaje się, portret mojego poprzednika? — zapytał.

— Tak, to on.

— Jaki on był szczęśliwy, że się tak doń przywiązywano! I jak wiele utracił, opuszczając te strony!

Oczy pompadura zaczynała się rozrzucać; mowa zaczęła przybierać odcień tendencyjny; ale Nadzieja Piotrówna ciągle jeszcze pozostawała w stanie zdrętwienia.

— Tak, on był szczęśliwy, — szepnęła, dziwiąc się sama, dlaczego jej język wypowiada jedynie głupstwa.

— Daruj pani, nie śmiem jej dłużej trudzić moją obecnością, ale považam się sądzić, że wynoszę ze sobą przyjemną nadzieję, iż odtąd wszystkie nieporozumienia między nami skończone, a pani... pani nie pozbawisz towarzystwa jego... że tak powiem, najpiękniejszej ozdoby! — wyrzekł wkońcu, powstając z kanapy i znowu całując rączkę gospodyni.

Po jego wyjściu, Nadzieja Piotrówna, przez pewien czas stała w zdrętwieniu. Zdawało się, że wysłuchiwała jakiegoś niezręcznie zredagowanego kancelaryjnego papieru, którego treść jeszcze nie była dla niej zupełnie jasną, ale na który potrzeba bezwarunkowo odpowiedzieć. Ocknąwszy się narresze, pierwszym ruchem, jaki uczyniła, było porwanie portretu starego pompadury.

— Pompadurku, mój ty głuptasku! Dokąd pojechałeś! Co uczyniłeś ze mną! — zawołała, jakby przeczuwając, że w losach starego pompadury powinien nastąpić stanowczy przewrót.

(D. c. n.)

niem? Czy ono w kuryerze, chwytającym nowiny brukowe, jest temże samem, co w naukowem wydawnictwie miesięcznem lub tygodniowem? Jeżeli zaś imieniem „prasy“ obejmujemy głównie dzienniki, to trudno się zgodzić, ażeby ich zadanie było „przeważnie pedagogicznem.“ Są to raczej zbiorniki doniesień i objaśnień, zadawaniające codzienne potrzeby i ciekawość czytelników bez względu na cele wychowawcze. Wiadomości polityczne, opisy wojen, zbrodni, pożarów i innych wypadków — to nie są chyba środki edukacyjne. Nie idzie w nich o formę, ale o treść i... pospiech. Ta ostatnia okoliczność usuwa się ciągle z pod uwagi naszym językowym korektorom. Zapominają o tem, że sami woleliby *dziś* otrzymać jakąś ważną wiadomość w złej polszczyźnie, niż *jutro* — w dobrej. A tenże sam gust posiadają wszyscy czytelnicy, którzy pospiech gazety przynoszą nad jej „pedagogiczne zadanie,“ nad „poprawność mowy.“ Jeżeli zaś tak jest, jeżeli nadto zwrócimy uwagę, że pisma codzienne posługują się w znacznej części siłami mniej wytrawnymi, że nadpływający ze wszystkich stron świata materiał przynosi z sobą techniczne formy, od których łatwo uwolnić się nie da, to przyznać musimy, że „stanie na straży czystości języka“ jest dla tych pism niemożliwem. Nigdzie też one nie spełniają takiej roli i wszędzie prasa dzienna odznacza się zaniedbaniem szaty zewnętrznej, albo raczej nosi kosmopolityczną, z najrozmaitszych pierwiastków utkaną.

Daleko bardziej — że tak powiemy — narodowe, daleko mniej obcych wpływów i pospiechu zależne są tygodniki, miesięczniki i wogóle pisma naukowe, literackie lub społeczne. Składają się na nie siły dojrzałsze i większe, dłuższy czas pozwala opracowywać pojedyncze artykuły — to też zarówno u nas, jak i za granicą, przemawiają one językiem czystszy i wytworniejszym. Naturalnie wydawnictwa, nieprzywiązane do stałych i szybko po sobie następujących terminów, a wreszcie będące płodami umysłów znaczniejszej miary, mianowicie książki winny posiadać i posiadają najbardziej udoskonaloną formę; odpowiedzialność ich zatem musi być najwyższą. Tymczasem nasi reformatorowie językowi głównie procesują się z prasą i to z prasą codzienną, która zaledwie posiada kilka godzin czasu na zadowolenie ich wygórowanych żądań. Łowienie błędów i uchybień w tym potoku jest zajęciem nader łatwem i dla tego gorliwie uprawianem. Dość pójść do cukierni, spożyć chciwie cały zapas świeżych wiadomości i wypisać dostrzeżone w nich skazania. Owocem takich właśnie badań jest książka p. Szczerbowicza-Wieczora.

Podobne złe cenzurki, wydawane prasie naszej, byłyby zresztą pouczające, gdyby egzaminatorzy nie objawiali — jak rzekliśmy — żądań zbyt wygórowanych. W książce p. Szczerbowicza i w uwagach nad nią *Bibl. Warszawskiej* znajdujemy pod imieniem rusycyzmów, germanizmów i t. p. takie np. wyrazy, uznane za obce w naszej mowie: poryw, przejaw, klonić się, wpadłem w wodę, słoje (warstwy), zbyt (odbyt), lubować się, kipiątek, pustynny, zapiski, ciepłota i t. d. Wszystkie te badyłe należałoby, zdaniem naszych ogrodników,

wypieć z polskiej niwy językowej. Na radę taką można tylko wzruszyć ramionami. Wyrazy te bowiem nietylko zaszczerpione są na pierwiastkach polskich, odpowiadają duchowi naszej mowy i zawartym w nich pojęciom, ale wchodzą w skład ogólnie przyjętego słownictwa. Jeżeli jest słowo polskie *porywać*, dla czego niepolkiem ma być *poryw*, lecz koniecznien *popęd*? Dla czego *zapiski* mają być gorsze od *notatek*? Dla czego *kipiątek* ma być obcym, kiedy wyrazu tego lud używa? Zamiast *zbytu*, oddawna wprowadzonego do ekonomii politycznej, sprawozdawca *Bibl. Warsz.* radzi używać *odbytu*, zapominając lub nie wiedząc, że istnieje wielka różnica między odbywaniem i zbywaniem, że *zbyt* (towaru) nie jest odchodzeniem, lecz sprzedawaniem towaru, że mieści w sobie pojęcie czynności. Podobnie naiwnym jest zamach na *ciepłotę*, posiadającą prawo obywatelstwa w fizyce i medycynie. Propozycja zastąpienia słowa *dedukować* słowem *wnosić*, *wnioskować* świadczy, że p. L. S. W. nie zna słownictwa logicznego.

Wogóle o większości kazań w przedmocie czystości języka polskiego rzecz można, że chcąc im zadość uczynić, należałoby go obedrzeć z kilkowiekowego dorobku i wrócić do tych jego zasobów, kiedy dopiero w literaturze odzywać się zaczął. Na szczęście naród mija z uśmiechem gderających tetryków i dalej snuje swą pracę rozwijania mowy z pierwiastków rodzimych i dopełnienia jej odpowiedniami pożyczkami u ludów pokrewnych lub nawet obcych. Żaden język własnymi jedynie siłami nie wydola potrzebom umysłowym tych, którym za organ służy. Kto chce z niego wypędzić obcy wyraz, niech wypędzi także z życia obcą instytucję; kto nie chce używać wyrazu *substancja* lub *absolut*, niech nie korzysta z weksłu lub poczty, bo i to są wytwory cudzoziemskie. Myśli, pojęcia rodzą się w swej własnej formie i w inną przebrane być nie mogą; przejmując pojęcia, musimy przejmować ich formę, a procesu tego nie wstrzymują polowania bocianów, wylapujących na swojskiej łące cudze żaby. Wyprawy Skobłów i innych Don Kiszotów tejże chorągwi pozostaną zupełnie bez wpływu, bo nie znają miary, bo waleczą z wiatrakami. Jedynym ich skutkiem jest polechtanie humoru społeczeństwa i wywołanie takiej trafnej odpowiedzi, jak ta, która radziła *Skobłowi* przezwąć się naprzód *Zaszumą*. Ogół pozostanie głuchym na te gorzkie żale, a gdy mu, jak niegdyś w Czechach, przygotowują „poprawne“ zawiadomienie o iluminacji, nikt świecy nie zapali, bo nikt owych „poprawnych“ dźwięków nie zrozumie.

Wnioski z powyższego wywodu dwa: 1) nie możemy uznać nadmiernych wymagań czystości i poprawności języka, stosowanych do prasy, zwłaszcza codziennej i 2) nie możemy ich uznać dla tych nabytków mowy, które są rzeczywistym i koniecznym jej wzbogacaniem. Oba te wnioski nie przeszkadzają nam zgodzić się w zasadzie na potrzebę uwolnienia, zarówno prasy jak wogóle mowy od skażeń i dziwolągów. *Prawda* należy do pism nader nader dbałych o swą językową powłokę, nie możemy jednak zapisać się do szkoły Skobla, który

gotów był każde ciele nieczterwone uznać za potwora i w słoju umieścić.

Inną podstawę i wartość naukową ma odbitka z *Tygodnika Ilustrowanego* p. t. „W sprawie pisowni polskiej,“ wyjątkowo pięknym, jasnym i dzielnym stylem napisana. Autor — „stary pedagog“ — wykazuje potrzebę ustalenia chwiejnej ortografii, karci nieokielznane innowacje oraz zbiera szereg zagadnień językowych. „Dziwczynka — są jego słowa — przyzwyczajona, dajmy na to, pisać swe imię według przyjętych w powszechnie używanych gramatykach prawideł: *Marya* lub *Zofia*, naraz w szkole spotyka się z przepisem, nakazującym zmienić się na *Maryję*, *Zofję*, gdy znowu winnym zakładzie, albo w tymże samym inny nauczyciel zaleci pisownię: *Marja*, *Zofja*. Czyż nie będzie to dla tych *duszy gasienniczek* prawdziwa trzykrotna entomologiczna metamorfoza? Ma się rozumieć, że takiejże chwiejności podlegają wszelkie inne nazwy rzeczowników żeńskich, ze starożytnych języków przyswojone, a już nieszczęśliwa *geografia*, do trzech odmiennych końcówek otrzymując jeszcze troisty przyrostek: *geo-*, *giero-*, *jeo-*, dojsć może do dziewięciokrotnej kombinacji, jak gdyby kaprys naszych filologów liczbą dziesiątą Appolinowej chciał tej nauce wynagrodzić najbardziej upośledzone na wychowawczym Parnasie stanowisko.“ Czujemy wraz z autorem konieczność wyjścia z tego odmetu, z którego nas żadne „poważne ciało naukowe“ nie wyprowadzi. Od kilku już lat wnoszą się modły do Akademii Krakowskiej, na które ona odpowiada serdecznem ziewaniem. Gdyby w naszej prasie możliwą była zgoda inna, prócz zgody w chwaleńiu księży i przyjaciół, można by przy współudziale ludzi kompetentnych wypracować zasady pisowni, usuwające przynajmniej największe różnice. W obecnym jednak stanie i skojarzeniu naszych sił umysłowych, musimy chodźć jedni do sasa drudzy do lasa, jedni oszczędzać *joty* a drudzy karmić niemi nawet prostaczków i tworzyć razem tę wieżę Babel, jaka się w naszej pisowni wzniosła. W każdym razie odczytajcie broszurkę „starego pedagoga.“

M. S.

EMIL GIRARDIN

w roku 1806—1881.

Dziennikarstwo francuzkie straciło w tym roku nietylko jednego z najświetniejszych przedstawicieli, ale, właściwie mówiąc, swój ideał i bożyszcze. Nikt godniej, ani lepiej nie umiał swoim życiem i charakterem przedstawiać interesów prasy, od świeżo zmarłego Emila Girardin, i w nikim lepiej od niego nie wcieliły się jej przymioty i wady. On ją stworzył, a ona go później urabiała na obraz i podobieństwo swoje, i to tak dalece, że pod mokrą jeszcze ziemią ementarza Montmartre nie człowiek leży, ale dziennik ze swoim życiem ruchliwym, pełnem przygód, bogatem we wpływy, pożytecznem i zarazem szkodliwym, gorączkowem, idealistycznym z jednej strony a materyalnem z drugiej, obsługującym je-

dnocześnie dobre instynkta i złe, zostawiając trwale ślady swojego istnienia tam, gdzie się tego najmniej spodziewano, a bezowocność tam, gdzieby interesy społeczeństwa najwięcej potrzebowały poważnej płodności dziennikarskiego umysłu.

Umysł Girardina, jak charakter każdego dziennika, był czysto efemerycznej natury. Myśl jego, jej natężenie i kierunek, zmieniały się jak łamy zadrukowanego świstka i pozwalały się pokrywać nowymi codziennymi, przy każdej nowej sposobności, przy każdym nowym politycznym lub społecznym przewrocie. Pomiedzy rokiem 1836 a 1848 stworzył w polityce to, co się od owego czasu nazywa oportunizmem. Dla osobistych interesów więcej niż przez miłość publicznego dobra bronił konserwatyzmu, wielbiąc postęp; stał po stronie ministerium, naganiając ministrów. Naturalnie, jako postępowy konserwatysta, miał przeciwko sobie i postępowych i konserwatystów, to jest wszystko, co jest uczciwe i co nie znosi dwuznaczności. A Girardin już nie kochał się, lecz nurzał w dwuznaczności po uszy. Przez ustawiczną potrzebę poruszania myśli stawał się czasami nawet dobrym prorokiem: strzelając ciągle na oślep, umiał trafiać przypadkiem w cel. Tak udało mu się przepowiedzieć *rewolucję lutową* i zawczasu wynieść Larmartine'a. Od roku 1848 kolejno zwalczał i podtrzymywał ministerium Guizota, rząd tymczasowy, reakcję i Rzeczpospolitą; z zajądłością rzucał się na generała Cavaignaca i sławił lojalność księcia Ludwika Bonaparte; od czasu wstąpienia na tron tego ostatniego obrocił swe pióro przeciwko niemu i na chwilę stracił kredyt w opinii publicznej. W 1856 roku dziennik *Presse* poszedł w zapomnienie. Lecz nie Girardinowi to spocząć na laurach. Po upadku *Presse'y* założył *Liberté*, która od pierwszego numeru miała zapewnione powodzenie, jakkolwiek jej kierownikami w uczciwości, ani w logice nie wprowadził najmniejszych choćby zmian. Były to znowu te same myśli, pojęte w duchu chwili, poczęte przez przypadek, urodzone na łonie codziennej polemiki, ograniczone potrzebami szczupłych ram dziennika i wychowane odpowiednio do gustu i upodobań tłumu. Nie kierując się żadną stałą teorią w polityce, ani uczciwością, choćby konwencyonalną w życiu, walczył dalej za liberalizm, plebiscyt, podzegał wojnę do ostateczności w 1870 roku, odznaczył się niewdzięcznością, względem Gambetty, okrył się śmiesznością w czasie i po komunie, żądając rozdzielenia Francji na piętnaście sfederowanych grup, i nareszcie stanął na piedestale chwały po 16-ym maja. Chwytając wyborną sposobność do walczenia, jak starzy szermierze, którzy według Plutarcha odzyskują swoje mięśnie w cyrku, Girardin oświadczył się wprost i śmiało przeciwko panom Broglie i Fourtou i stanął do boju. Dzięki to prawie jego artykułom z *France* gabinet *porządku moralnego* runął, ustępując miejsca dzisiejszym ludziom republikańskiego rządu. Dziewiąty okręg Paryża w nagrodę, jak się wyrazili wyborcy, nie cnót jego życia, lecz sprowadzenia upadku gabinetu Broglie-Fourtou, wysłał go do Izby, gdzie Girardin przez

brak stałej i jasnej linii w polityce nie odegrał żadnej roli aż do samej śmierci.

Życie jego było pełne przygód, tajemnic, uroku i hańby. Urodzony z nieprawego łoża, zostawiony sam sobie i dobrej lub złej doli przypadku, Girardin w dwudziestym roku życia tak scharakteryzował swoje położenie: „Interesującym do rozwinięcia w powieści byłby charakter młodego człowieka, który urodzony jak ja bez rodziny, bez majątku, zmuszony zapobiedz wszystkiemu, czego mu nie stanie, przez swoją własną tylko energię, którego siły wzrosną w miarę przeszkód, — charakter młodego człowieka, któryby się wzniosł po nad takie położenie; który zamiast uleść trudnościom, myślałby tylko o ich zwyciężeniu i umiałby dobić się stanowiska dosyć wydatnego, aby zwrócić na siebie oczy tłumu i zemścić się tym sposobem za swoje opuszczenie.“ Lecz aby stworzyć sobie takie stanowisko, potrzeba było mieć takie siły, taki temperament i taką wiarę w siebie, jakich zapowiedź widać w postawionym przezeń zawczasu programie życia. „Aby wyjść z zapomnienia — pisze on w 1872 r. — jest tylko jeden sposób: grzebieć ziemię waszymi pazurami, jeżeli nie macie narzędzi, lecz grzebieć dotąd, dopóki z jej wnętrzości nie wydrzecie miny.... Kiedy ją znajdziecie, inni przyjdą kłócić się z wami o nią, a może nawet i odebrać; lecz jeżeli jesteście mocniejsi, będą oni wam pochlebiać, a kiedy nie będziecie potrzebowali nikogo, przyjdą wam na pomoc.“

Tą miną złotą było dla niego dziennikarstwo, a pazurami do grzebania ziemi umysł giętki, żywy i niekrepujący się ani celem, ani środkami, choćby najmniej nawet uczciwymi. „Czas metafizyki już minął — pisze on na jednej ze stronnic *Emila*, puszczonego w świat w dwudziestym roku życia. Moralność powinna być tylko matematyczną demonstracją w wieku, w którym wszystko się redukuje do interesów pozytywnych; nie przepisów zatem potrzeba, lecz przykładów. Moralność zmieniła imię i nazywa się teraz statystyką: prawda odtąd powinna wychodzić tylko z porównania faktów.“

Trzymając się ściśle takiego celu dobiecia się stanowiska za jakąkolwiek cenę i posługując się taką filozofią moralności, która jest tylko liczbą w statystycznych kolumnach nie zaś apriorycznym przepisem, Girardin stanął do walki z życiem i zwyciężył prawie odrazu. Założywszy i straciwszy kilka z rzędu dzienników, nauczył się spekulować zadrukowanym papierem jak na giełdzie. Dziennik stał się *akcyjną aferą*, przemysłem w jego rękach, które szukały na wszystkie strony złota, oddając za jego wagę, co kto chciał. Z myśli poruszanych na wolę przypadku nie wiele a może nie zostanie na jutro. Wszystkie one rozsypały się lub rozsypią niedługo w proch razem z jego ciałem. Najważniejszą, najtrwalszą rzeczą, jaka się została po Girardinie, to dziennik w swej materialnej istocie, jaką on w niego tchnął. Dzięki to jemu publiczność zaczęła otrzymywać codzienną strawę duchową z początku za czterdzieści franków rocznie, następnie za dwa sous dziennie, ostatecznie zaś za sous'a. Jest to taki dobry rodzaj przemysłu, jak każdy inny — ale do-

bry dla spekulantów tylko; gdyż, jak pisał nazajutrz po śmierci Girardina *Temps*, dziennik „przed nim był organem opinii, narzędziem propagandy; jest on wprawdzie tem i dziś jeszcze w pewnej mierze, ponieważ polityka została się jego zewnętrzną racją bytu i szyldem; lecz pomimo woli, w gruncie rzeczy, stał się on czysto przedmiotem spekulacji.“ Co więcej, dziennik obecny, tak przystępny i popularny z powodu swej taniości, tak wpływowy z powodu swej ruchliwości i rozpowszechnienia, stracił zupełnie na znaczeniu literackim a nawet i na godności: kto bowiem dziś troszczy się tak bardzo o odpowiedzialność, kto nie przekłada wiadomości drażliwej nad dokładną informację, coś zabawnego nad pouczające i kto nie ma więcej na uwadze raczej sprzedaży dziennika niż jego realną wartość? Tak, Girardin przetwarzając dziennik na przedmiot spekulacji, a dziennikarstwo na schlebianie i zadawalnianie gustu publiczności, wywarł wpływ więcej szkodliwy na swoje społeczeństwo, niż dobroczynny. Odtąd każdy umysł poważny, prawy, zmierzający do celu idealnego, nie zaś jak Girardin do poruszania jak największej liczby myśli i osiągnięcia największej masy renty, będzie miał do zwalczania literacki przemysł, taniość, ruchliwość, przyjemną płytkość, dwuznaczność uczciwości i stanowczą bezczelność każdego dziennika, który za przykładem *Presse*, *Liberté*, *France* lub *Petit Journal* sprzedaje się każdej idei, każdemu człowiekowi, każdemu rządowi, byle za wielkie pieniądze i byle to nie szkodziło materialnym interesom pisma.

Girardin dziennikarzem we właściwym znaczeniu tego wyrazu został stosunkowo dosyć nawet późno. Odtąd jednak umysł jego nie potrzebował czuwać nad spekulacjami finansowymi, myśli sypały się jak z rogu obfitości. Te artykuły, które zostały zebrane w jedną całość, stanowią dwadzieścia grubych tomów. Mało tam znaleźć by można było literatury — tak smak artystyczny gubił się w potrzebie polemizowania. Na starość żywa forma pisarska Girardina obróciła się w dziwaczną, a nawet czasami i śmieszna manierę siekania myśli na krótkie frazesy i bawienia się w antytezy. Co zaś do myśli, jakie poruszał przez czterdzieści przeszło lat swojego życia, wszystkie one doznały prawie jednego i tego samego losu: bawiąc przez chwilę błyskotliwością paradoksu, zagięły w swoim własnym wirze. Zresztą Girardin zapalał się do swoich myśli, ale tylko wobec przeciwnika: przeprowadzenie systematyczne jakiegokolwiek bądź idei było mu obcem. Rzucał paradoks w świat, nie troszcząc się o jego urzeczywistnienie. Z projektów jego najważniejsze są:

Zniesienie konstytucji, ponieważ konstytucja jest granicą i przez to samo wywołuje rewolucję;

Zniesienie praw, ponieważ one są przeszkodą do postępu;

Zamienienie państwa na proste „narodowe stowarzyszenie zbiorowych oszczędności i wzajemnych pomocy“;

Zniesienie armii stałej i zredukowanie poboru do ochotnictwa;

Wprowadzenie podatku dobrowolnego;

Puszczenie całej francuskiej ziemi na akcyę;

Określenie minimum płacy dla robotnika;

Zniesienie małżeństwa i nadanie dzieciom imienia matek;

Zastąpienie kodeksu cywilnego przez wyroki sądów polubownych, a kar kryminalnych przez „wpisanie życia“ to jest przez opublikowanie *curriculum vitae* każdego człowieka.

Wszystkie te idee, zarazem dobre jak i złe, słuszne jak i śmieszne, poszły z nim do grobu. Nikt w spuściznie nie przejął po nim socyalnych pomysłów, nikt ich nie broni, nikt ich nie prowadzi dalej. W zarodku były one wadliwe i niezdolne do dłuższego życia, niż jednodniowe życie samego dziennika, który je głosił. Tym sposobem cała wartość moralna, cały wpływ Girardina na społeczeństwo redukuje się do wartości moralnej i do wpływu dziennika: porusza on myśl rano, o której się zapomina wieczorem. Nazajutrz, jeżeli przedstawia jakikolwiek interes, to tylko pieniężny i tylko dla tych, którzy są jego akcyonaryuszami. Girardin tak samo jak dziennik, którego był absolutnem wieczeniem, zrobił swoje: poruszył potworną masę myśli i zostawił miliony dwu swoim synom.

Antoni Sygietyński.

LEOPOLITANA.

VII.

Tak tedy określiliśmy owo duchowe *milieu*, ową wstrętną atmosferę fałszu i obłudy, która jest nieuniknionym wynikiem narzuconych nam politycznych stosunków, a w której fatalnie marnieć musi nasze dzisiejsze pokolenie. Znajomość tego *milieu* jest dla zrozumienia współczesnego ruchu na piśmienniczym naszym polu niezbędną; bez niej bowiem niepodobna sądzić o działalności każdego z naszych pisarzy, na których otoczenie owo wpływ swój koniecznie wywierać musi, i których zatem ono — jeżeli je pomnożymy przez indywidualne ich temperamenty, przez ich duchowe i fizyczne rodowody, wreszcie przez osobiste ich moralne doświadczenia — ostatecznie uzupełnia i tłumaczy.

Zauważył to podobno pierwszy Stendhal, że ustrój rządu oddziaływa zawsze na estetyczne pojęcia rządzonych; że przeto istnieją rodzaje piękna, odpowiadające monarchiczno-absolutystycznemu i republikańskiemu ustrojowi. Prawdziwość tego pozornie paradoksalnego aforyzmu stwierdzić można, zwiedzając Wersal i przechadzając się po tamtejszym ogrodzie, gdzie szpalery drzew pod sznur sadzonych, popodziemnych i wykoszawionych, dziś jeszcze świadczą o kapryśnych, samowładczych zachciankach Króla-Słońca, który wolę swą narzucał nie tylko ludziom, ale i przyrodzie. Szpalery te nieme i pod technieniem królewskiego *car tel est mon bon plaisir!* skostniałe, odpowiadały pojęciom o pięknie ówczesnego francuskiego społeczeństwa, korzącego się przed despotycznym *l'Etat*

c'est moi! potężnego władcy, — tak samo, jak odpowiadały estetycznym pojęciom angielskiego, mlekiem samorządu wykarmionego społeczeństwa, owe współcześnie zakładane parki, gdzie swobodnie rozrosnięte drzewa oceniają szmaragdowe błonia, gładkie wód zwierciadła i malowniczo wijące się ścieżki, toczące zielonego liścia warkoczem nieustanne z wiatrem rozchwały. Tam bezruch i skostniałe nieme posłuszeństwo — tutaj bujne życie i swoboda!

Owóż, jeżeli kierując się wskazówkami Stendhala, przypatrzmy się piśmienniczym naszym płodom z dzisiejszego austropolskiego konstytucyjnego okresu, to ujrzymy, że cechą ich jest rażący brak prawdy, życia i zdrowia, tudzież bezgraniczna rzeczywistość jałowość. I nie dziw! Włazłszy między wrony, musimy krakać jak i one! W państwie, na tak wątłych a nie-naturalnych stojącym podstawach, trzeba koniecznie gwałt zadawać piersi, aby się z niej nie wyrwało śmielsze westchnienie, śmiech serdeczniejszy; — a nuż się jeszcze chałupka rozwali?! To też proszę patrzeć, jak to w piśmiennictwie naszym panuje dziś obawa dotknięcia wielkich zagadnień, stojących przed ludzkością! jakie zasłanianie oczu przed słońcem! jakie nawiązywanie myśli do drobnych celików, którym służy spryt malutki, malutkie rozpalające pożary! jaka wreszcie w zakonie moralnym łataninka! Wyższych wrzekomo słuchając względów, umie prawda wczorajsza dziś miejsce nowej ustąpić prawdzie, która jutro znowu innej miejsca ustąpi, — i mamy tu skutkiem tego szczęśliwego, moralnego płodozmianu, co dzień „świeżą“ etykę, mniej więcej tak, jak „co dzień świeże pieczywo.“ Rzekłbyś, że wieczyste prowizoryum, które — jak to słusznie swojego czasu zauważył p. de Forcade — treść i istotę Austriistanowi, wniknęło już w krew naszą i kości, i że myśl nasza, stawszy się księżycem c. k. austriackiego słońca, zbiegła z dawnych swych szlaków i żyje dziś już tylko owym ideałem, wystarczającym chyba tylko Azorcjom lub Fidusiom, ową *Treue und Anhänglichkeit an mich und mein Haus*, którą nam monarcha w czasie swej podróży, jako najwyższe *logos*, postawił.

Weźmy n. p. za przedmiot badania jednego z najwybitniejszych przedstawicieli naszego piśmienniczego pokolenia, pana Jana Lama, i przypatrzmy się jego dziś już blisko dwudziestoletniej autorskiej działalności. Pan Jan Lam łączy z szczęśliwym pisarskim, sangwiniczno-żółciowym temperamentem, i żelaznem prawdziwie zdrowiem, potężny talent, oraz gruntowne wszechstronne wykształcenie; należy przeto bez wątpienia do rzędu tych ludzi, którzy są powołani, by lecieli

przodem

Jako zórawi łańcuch przed narodem.

A jednak, jednak! — żal serce ścisła! — i cokolwiek na to powiedzą liczni tego pisarza zwolennicy, jaka w płodach jego bezgraniczna jałowość, jaka szalona prawdy poniewierka! Nie stawiając już tutaj tych wygórowanych wymagań, które do ludzi piórastawia Sainte-Beuve, przyznając chlubne nazwisko pisarza temu jeno, który chociażby jedną nową moralną lub naukową prawdę postawił, albo też istniejące już

bliżej określił, udowodnił i kategorycznie ponad dyskusję wywyższył, — owszem zniżając roszczenia nasze do najpospolitszej miary: jakż jest jego w służbie prawdy uczciwość? jaka pisarska szczerłość? jakie w świecie myśli stanowisko? Przechodząc niby narzędzie jakie z ręki do ręki wydawcy, przerzuca on ludźmi i etycznymi pojęciami, jak pozłacanemi galkami. Ta sama prawda, która dziś w Kalospintechromokrenie jego dowcipu jaśniała blaskiem gwiazdy zarannej, porzuconą zostanie jutro na śmietniku jak zgniły kartofel, aby pojutrze stamtąd wydobyta, zabłysnąć znowu Syryuszem lub Oryonem, — i ten sam człowiek, którego dzisiaj na świecznik wywyższył jako Waszyngtona, wywleczonym zostanie jutro jako łotr na pręgierz, aby pojutrze znowu z błota wydobyty laurowym został uczczony wieńcem.

Czytając kroniki p. Lama czas dłuższy, dziwnego się doznaje wrażenia. Jest świat — malenki światek, zakreślony czteremaścianami redakcyjnego pokoju i oświecony słońcem programu (gwałtu! nie rozchodźcie się!) stronnictwa. Na tym świecie żyją ludzie dziwnego nabożeństwa, z dwu nierównej moralnej miary połów sklejeni. Nikt sobie tam nie łamie głowy nad wielkimi politycznymi i społecznymi zagadnieniami; — nikt się tam nie zajmuje kultem wiedzy i piękna, — niema piśmiennictwa, niema teatru, niema ruchu umysłowego i naukowego, a ekonomiczny ogranicza się na sprawie zaciągania pożyczek u żydów. Istnieje Traumglas, właściciel domu, w którym mieszka autor; — p. Lam, główna według kroniki w dziejowym galicyjskim dramacie osoba, toczy z tym jegomością wieczną walkę, nie mogąc — jak się również z kronik dowiadujemy — nigdy w terminie zapłacić czynszowego; istnieje Chochlik, Szezutek i p. Dobrzański, którzy wiecznie mówią: „czarno,“ ilekroć p. Lam „biało“ powiada, są przeto powodem wszelkiej galicyjskiej biedy; istnieje wreszcie p. Rodoc, prowizoryczny polski Beranger, i p. Adam Miłaszewski, również prowizoryczny polski Laube, świecący — każdy w swoim zakresie — jako Mężowie Czterdzieści cztery, na to tylko, ażeby jutro — *utinam falsus sim vates* — zostać zdegradowanymi do zera, a potem kiedyś znowu jako Mężowie Czterdzieści pięć zabłysnąć. Ruch polityczny, a trzeba wiedzieć, że głównym zadaniem kronik jest służyć temu ruchowi, ruch polityczny w tym deseczkami zabitym świecie — powiadam — ogranicza się jedynie i wyłącznie do akcyi wyborczej. Nie chodzi nikomu o naprawę naszych społecznych stosunków, o podniesienie oświaty, dobrobytu i t. d., lecz tylko o to, ażeby zamiast Pawła i Macieja, których popiera *Gazeta Narodowa*, Piotr i Bartłomiej zostali wybrani do rady miejskiej, sejmiku lub Rady Państwa, co się — niestety! — bardzo rzadko wydarza. Oprócz tej peryodycznie wracającej dolegliwości, nie zagrzewa nie żółci naszego kronikarza. Świat jest piękny, dobry, i byłoby wszystko w jaknajlepszym porządku, gdyby — piwiarnia Pfinka miała lepszą lodownię, a kelnerzy u Eliasza nie podawali rozbratłów z włosami!

Ale nie tylko w polemicznych kronikach p. Jana Lama, malujących nam świat ispo-

łączeństwo takimi, jakimi one nie są, — owszem nawet i we wszystkich jego powieściach objawia się wpływ atmosfery, w której żyjemy, poniewierką prawdy i jałowości. Pisząc to, wiem dobrze, iż gorące z waszej strony wywołam zaprzeczenie; niedawno bowiem temu umieściliście recenzję jego *Dziwnych Karyer*, pełną uznania dla pisarskich jego zdolności *). Mimo to trwać muszę przy mojem twierdzeniu; nie chodzi mi bowiem w niniejszej sylwetce o dowcipnego bawiciela, o wykwin-tnego stylistę, o zręcznego powieściarza, lecz płonącego świętym ogniem satyryka, chłoszczącego bezlitośnie wady swego społeczeństwa, o pisarza „z łaski bożej“ podającego według swej najlepszej wiedzy i sumienia zdrowy pokarm czytelnikom. Otóż z tego wychodząc stanowiska, muszę plodom powieściarskiej muzy p. Lama odmówić dodatniej wartości. Pan Lama przedstawia się jako wieczny *condottiere*, ślubujący sprawę swego wydawcy, bez względu na to, czy sprawa ta słuszną jest, czy nie. Jak nam to sam powiedział, pisze on temu, który mu płaci, — ja zaś, który się przypatrywałem jego działalności przez lat wiele, i to pod redakcyami zupełnie przeciwnych sobie przekonań, dodam tu, że ślubuje najprzód narzucane sobie zapatrywania, a dorabia sobie potem dopiero odpowiednią do tych zapatrywań teorię, którą w tak sztuczną siatkę sofizmów wikła, aż wreszcie — z najlepszą już jak sędzę wiarą — sam w jej sidła wpada. Dziwnemu temu procesowi, który nam zmienność przekonań p. Lama tłumaczy, przypatrywałem się kilka razy, i polecam go jako objaw ze wszech miar ciekawy uwadze naszych psychologów.

Ale wracając do powieści p. Lama, te, tak samo jak i kroniki jego, pisane były zawsze pod natchnieniem redakcyjnej Egerji, ukrywa się przeto poza fabułą ruin obrok duchowny, który prawdą nie jest, — pewna *arrière-pensée*, pełna częstokroć fałszu i przebiegłości. My też, którzy znamy rodowód tych powieści, nie możemy się zachwycać żadną miarą; we wszystkich bowiem kłuje nas w oczy owo sztydło, które plody te do miary zwykłego i to nie w dobrym celu pisanego obniżają pamfletu. I tak np. pisaną była *Panna Emilia* w celu prostowania ścieżek hr. Gołuchowskiemu; *Koroniarz w Galicyi* w zamiarze złamania wpływów przebywających u nas braci z za Wisły. *Głowy do pszołoty* — prawdziwe *ôte toi de là, pour que je n'y mette* dla sponiewierania domu Sapiehów, których wpływ i znaczenie zawadzały Benjaminkowi *Dziennika Polskiego* p. Ziemiałkowskiemu. *Dziwne Karyery* wreszcie w celu rozerwania stosunku, który chwilkowo wiązał właściciela *Dzien-*

nika Polskiego, księcia Adama Sapiechę z pewnym tutejszym literatem, nieodznaczającym się wprawdzie wielkimi zdolnościami i wiedzą, lecz za to nieskazitelną prawością i najlepszymi chęciami. Chodziło mianowicie o to, ażeby po najnowszej zmianie redakcyi unieważnić rzeczonemu dziennikarzowi ponowne objęcie steru gazety, o co się właśnie toczyły z księciem rokowania, a tem samem utrwalić stanowisko dzisiejszych redaktorów i tytularnych właścicieli.

Owoż wszystkie te cele, a nie posadzam o nie p. Lama, lecz zawsze każdorazową jego Egerję, nie były pocziwymi. Nie godziło się bowiem stawiać na świeczniku takiego *faiseura*, jakim był hr. Gołuchowski, który zwrócił oczy polaków ku Wiedniowi jakoby ku zbawczej jakiejś Mekce; nie godziło się bynajmniej w sposób taki walczyć z przebywającymi u nas koroniarzami. nie godziło się dla pięknych oczu p. Ziemiałkowskiego ściągać w błoto najniesłuszniej męża tak wobec kraju zasłużonego, jakim był bezwątpienia ks. Leon Sapieha; nie godziło się wreszcie dla drobnych widoczek koteryjnych szarpać dobrą sławę niewinnego, a pełnego najlepszych chęci kolegi. Stąd też tracą nawet i prawdy, tu i owdzie społeczeństwu naszemu wypowiedziane, całą swą wartość; prawdy te bowiem jeszcze są w interesie fałszu, i pełne przeto perfidy. Siew ten nie wyda też z pewnością żadnego pomyślnego owocu w umysłach. I nie dziw — nie został on tam rzucony w interesie prawdy, lecz w innych widokach. Był to tylko piasek pu-
stynny, i nie więcej!

(Dokończenie nastąpi).

Urywek z poematu PAN TADEUSZ (?)

J. Słowackiego.

Warta, tygodnik poznański, zdobywająca od czasu do czasu nieznane pozostałości piśmiennicze po znakomitych poetach naszych, ogłosiła znowu kilka urywków z jakiegoś utworu Słowackiego, nazwawszy je domniemalnie ustępami z *Pana Tadeusza*. Domysł ten wydaje nam się dosyć trafny, nie tylko ze względu na treść zachowanych ułamków, ale i ze względu na znany pocho-p Słowackiego do naśladownictwa. Ułamki te brzmią:

I.

Wielkimi gromadami — przez..... do sieni
Wchodzą strzynadle ¹⁾ złote i gile w czer-
[wieni,

A nawet ów dziw lasu, tak rzadko widziany
Halcyon — a na Litwie zimorodkiem zwany,
Który czasem strzelcowi pokaże się w borach
Przez mgłę gałązek — niby w anioła kolo-
[rach,

Nad zwierciadłem przełomki ²⁾ — piękny
[i błyszczący,

Jak anioł, w równi złote skrzydła trzyma-
[jący —

Nawet ów ptak pięknocią zaklęty — i dziki
Zbłąkał się i nad domu zleciał gołębniki,

¹⁾ *Strzynadle*, tyle zapewne co nasze trznadle.

²⁾ *Przełomka*, widocznie prowincjonalizm, którego znaczenie może jaki litwin wytłumaczyć.

A potem nad sadzawki, wogrodzie kopane,
Gdzie leszcze, karpie, pstrągi, pięknie ma-
[lowane,

Przeniósł się...

Wojski kazał powpuszczać ...ów ptak z ja-
[snym grzbietem

Poleciał — i bił w ryby dziobem jak
[sztyletem,

Słowem wszystko, jak gdyby szukało
[uchrony

U człowieka, ciągnęło z lasów... Smętne
[wrony

Zaludniły podwórze... obozem się mieszczą
W topolach — gdzie pod wieczór zwichrza-
[ją się — wrzeszczą,

I pod zorze gną czarną drzew obdartych
[głową —

Wojski mówi, — że wiodą swe sprawy sej-
[mowe.

* * *

Tak ptactwem gadająca, choć mgłami po-
[nura

Stała się ta litewska przemienna natura,
Zawsze żywa — i z duchem ludzi zawsze
[zgodna,

Dobra — nie martwa — chociaż skościła i
[chłodna,

Właśnie jak Litwin... który wśród świętych
[przymierzy

Skupił się w sobie — stęzał — niby tru-
[pem leży,

A jednak pełny życia — i wielkiej pamięci,
Gdy mu wróg wbiegnie — on go niby wąż
[okręci

Od nóg — po pierś pierścienie¹⁾ —
[wieńców skróci,

Rozwinie się — i trupa z objęcia wyrzuci. ²⁾

.....

II.

Ów to dwór Soplicowo, gdzie historia nasza
Odbiła się — pod technieniem Boga Bo-
[reasza —

Inne wdział szaty... twarze zupełnie od-
[mieniał —

Ów las topoli już się więcej nie zielenił.
Dziedziniec — gdzie bławatki, cykorye i maki
Barwiły się, jak szalów indyjskich szlaki,
Teraz biały.. wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki — świeżo deptane —
[czernieją

Od folwarków do dworu — od stodół do
[gumien —

Wszystko smętne... a domy stoją na-
[kształt trumien

Na podwalinach.

Wszystko zamarło do czasu.

Z daleka ciemna wstęga sosnowego lasu
Ściemniała — widać przez las błękit bitej
[drogi —

Wiatr przez nią leci — sosny jak litewskie
[Bogi

Chwieją się — jodły siedzą, śniegiem przy-
[walone —

Gdzieniegdzie drewna ścięte — jak cegły
[czerwone

Poukładane w stosy... inne do trojnogów
Podobne... jak ołtarze dawnych Litwy
[Bogów,

Czerwienią się... po lesie — osmętnione
[mgłami,

I sosen tak nakryte liściem — jak chmurami.

O zimo! twoję piękność smętną — uciszenie
Lasów — i rzadkie słońca złotego promienie
Czuje dziś... nakształt czaru i nakształt
[uroku,

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

*) Jako przewyższającemu nas znajomością stosunków miejscowych, pozostawiamy naszemu korespondentowi swobodę sądu, nie znosząc różnicy, którą sąd ten z naszym tworzy. Oddaleni od areny nie możemy w powieściach Lama dopatrzeć się wskazanych tu sprężyn i przyjmujemy je jako niezależne od rachub praktycznych utwory. Jeśli to złudzenie — rozczarowanie z niego byłoby bardzo przykre. To tylko nawet dla nas, patrzących zdaleka, jest niewątpliwem, że prasa galicyjska obniżyła swój kamerton i szarpaniem strun nader poziomych gra przed krajem kocią muzyką. Szybsze, wyżej wzniesione, poważniejsze tony nie odzywają się w niej prawie wcale (*Red.*).

¹⁾ Miejsca kropkami oznaczone są nieczytelne w manuskrypcie.

²⁾ Wariant:

A jednak, kiedy mu wróg wbiegnie bez pamięci,
Z dołu powstaje — od nóg — jak wąż się okręci,
Okolo bioder — pod pierś — cicho ciało opierścienia,
Aż nareszcie — wrogowi z pod jego ramienia,
Wytknie głowę i cichy śmiech pokaże smoczy,
Twarz tuż przed twarzą — przed oczyma oczy

Bom w życiu przyszedł na tę smętną porę
[roku, ¹⁾
Która wszystko ucisza... i pod śniegiem
[chłonie.
Z miłością bym więc ciche zamieszkał
[ustronie,
W okrag którego puszcza czerni się bez-
[brzeżna,
A nad nią we mgłach błyszczy Matka
[Boska Śnieżna. ²⁾

W Soplicowie—choć już się zbliżały zapusty,
Zjazdu nie było — dom był cichy — prawie
[pusty,
Wczora właśnie — francuskie oficerstwo
[starsze,
Które wtenczas przez marsze i przez kon-
[tramarsze
Włoczyło się po Litwie z armią dowozową,
Opuszczało gościnne zawsze Soplicowo.

III.

Noc była — wietrzna, śnieżna — a wi-
[chry śpiewały
W kominach swoje zwykle płaczące cho-
[rały —
Kobiety... przy dwóch świecach — w ba-
[wialnym pokoju
Siedziały przy robócie, w zaniedbanym
[stroju,
Same jedne — wizyt się w domu swoim
[ładnych
Nie spodziewając — dla mgieł i czasów
[szkaradnych —
Gdy nagle przed oknami — jak świst,
[grzechot węży,
Zaszumiał przeraźliwie straszny brzęk
[uprząży —
Straszny dla domu łoskot — z których
[zwykle jada
Sanie ogromne, liczne — tak zwaną szli-
[chtadą,
Z napaścią, która domy półsennie odurza,
Jak napaść zbójców... Taka przyleciała
[burza
Na dziedziniec.—Złęka się Telimena mocno.
Spojrzawszy na szlafroczek i na odzież
[nocną —
Spojrzała przez okiennic szpary — a śnieg
[złoty —
Pełno kagańców;—bieży—zrywa papiloty,
W oczach widać, że straszne zobaczyła mary,
Lecz nie brzydkie... krzyknęła do Zosi:
[„huzary!“

I uciekła.
Tymczasem wchodzi do pokoju
Człowiek niewielki wzrostem, w podró-
[żnego stroju;
Sądziłbyś, że cywilny — gdyby nie miał
[szpady
Pod pachą — dosyć piękny na twarzy —
[i błądy
Mimo zimna. Twarz była jak marmur
[niezmienna
Owszem — rzekłbyś, że bielsza od mro-
[zu — promienna.
Jak miesiąc złota... Oddał lekki ukłon Zosi,
Ona się złęka—oczy spuszcza—nie podnosi,
Nieśmie... stojak posąg—a w sobie rozważa,
Czy ma uciec, czy zostać—poznała cesarza
Napoleona....

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

Rocznik zbiorowy prac naukowych na rok
1880, Warszawa 1880.

Po raz już drugi młodzież nasza składa
w literaturze zbiorowy dowód swych prac

¹⁾ Wariant: Bo on już w żywocie uczuł czwartą po-
rę roku.

²⁾ Wariant: Nad którym czuwa święta Matka Boska
Śnieżna.

naukowych. Nie potrzebujemy zapewniać,
jak nas każdy taki objaw cieszy; jest on
najchlubniejszym świadectwem postępów
myśli tych, którzy są wcieleniem nadziei
kraju. Ze względu właśnie na szczególną
wagę, jaką w oczach naszych posiadają te-
go rodzaju wydawnictwa, zajmiemy się
specjalnie każdą rozprawką, wchodzącą
w skład *Rocznika*.

A naprzód jego pracami matematyczno-
przyrodniczymi.

O niewymierności liczby e (od str. 263 do
305) rozprawa p. I. Cohna, studenta kursu
III wyd. mat., napisana, jak się to okazuje
z jej ostatniego ustępu, pod kierunkiem p.
M. A. Baranieckiego. Jest to uprząstwie-
nie części pierwszej rozprawy p. Hermite'a
p. t. *Sur la fonction exponentielle*, w której
tenże podaje dwa dowodzenia, że liczba e
(podstawa logarytmów naturalnych) nie
może być pierwiastkiem równania algebra-
icznego o współczynnikach całkowitych.
Jedno z nich, będące przedmiotem pier-
wszej części rozprawy, a zatem i naszego
autora, opiera się na metodzie Laplace'a,
dotyczącej całkowania przez przybliżenie
różniczek, zawierających czynniki w potęg-
ach rosnących. Po przytoczeniu w kró-
tkich słowach dowodów Lamberta i Fou-
riera, że liczba e nie może być wymierną,
jako też sposobu p. Liouville'a, że ta liczba
nie może być pierwiastkiem równania sto-
pnia drugiego o współczynnikach całkowi-
tych (jakkolwiek Liouville także dowiódł,
że i kwadrat z niej nie może być pierwia-
stkiem podobnego równania), p. Cohn przy-
stępuje do wyłożenia pomienionej wyżej
metody Laplace'a, na którą się p. Hermite
tylko powołuje. W wykładzie jej, bardzo
zręcznym, ogranicza się jedynie do te-
go, co jest niezbędne w jego zadaniu spe-
cjalnem. Następnie przechodzi do samego
sposobu dowodzenia p. Hermite'a. Tu na-
stępują uwagi następujące.

1) Na stronicy 283 autor niewłaściwie
mówi: „Przypuśćmy, że $M = m = \mu$,“ albo-
wiem ta równość wynika już z założeń
poprzedzających.

2) Na stronicach od 293 do 297, przy
oznaczeniu pierwiastków równania odpo-
wiadających największościom funkcji pod
znakami całkowymi, autor używa błędnej
metody dla otrzymania pierwiastku nie-
skończenia wielkiego z dokładnością $\frac{1}{\mu^2}$.

W oznaczeniu tego pierwiastku należy ko-
rzystać z okoliczności, że wielomian $f(z)$ da-
ny jest jako iloczyn czynników pierwiastko-
wych; że więc stosunek jego pochodnej do
niego samego daje się przedstawić pod po-
stacią sumy odwrotności tychże czynników.

Jeżeli zatem w tej sumie czynnik $\frac{1}{z}$ wy-
rzucimy za nawias, i do wyrazów pozosta-
łych w nawiasie zastosujemy rozwinięcie
dwumianu Newtona, to poprzestając na
przybliżeniu pierwszym, znajdziemy na
wyznaczenie będącego w mowie pierwiastku
równanie stopnia 2°. Wartość przybliżona
pierwiastku dodatniego tego równania jest
właśnie tą samą, którą podaje p. Hermite,
i która jest istotnie przybliżoną z dokła-
dnością $\frac{1}{\mu^2}$.

Ponieważ jednak metoda La-
place'a daje wartości dokładne uważanych
tu całek dla μ nieskończenia wielkiego,
to można było w oznaczeniu wszystkich po-
mienionych wyżej pierwiastków ograniczyć
się do przybliżenia $\frac{1}{\mu}$ zamiast $\frac{1}{\mu^2}$, i wów-
czas osiągnęłoby się znaczne skrócenie: bo
nie tylko w otrzymaniu samych pierwia-
stków, ale także i w oznaczeniu wartości
poszukiwanych całek.

3) Autor, rozumiejąc wogóle bardzo
dobrze cały aparat przekształceń p. Her-
mite'a, niezaznaczył dość wybitnie najwa-
żniejszego, kulminacyjnego punktu jego
dowodzenia. Liczby N, \dots i P, \dots są z założeń
całkowitemi; więc suma iloczynów
z liczb N, \dots przez odpowiednie liczby e, \dots

musiałaby być także całkowitą dla każdej
wartości całkowitej μ . Ponieważ nadto
dla μ rosnącego liczby e, \dots maleją, przeto
pomieniona suma dążyłaby do zera prze-
chodząc tylko przez liczby całkowite. Jeżeli
zatem dla dostatecznie wielkiego μ suma
ta stanie się zerem, to już od owej chwili,
w miarę wzrastania liczby μ , będzie ciągle
zerem, niezależnie od tej liczby. Otóż, ca-
ła subtelność dowodzenia p. Hermite'a po-
lega na tem, że prawe części równań, któ-
rych wyznacznikiem się tu zajmuje, nie są
nieskończenie małe zależne od μ , ale są
równe zeru, i dla tego właśnie ostateczny
dowód założonego twierdzenia wymaga tyl-
ko pokazania, że ten wyznacznik nie może
być zerem. Gdyby bowiem prawe części
pomienionych równań były nieskończenie
małe zależne od μ , (co miałyby miejsce np.
dla liczb N, \dots niewymiernych) niemożli-
wość znikania owego wyznacznika niczego-
by jeszcze nie dowodziła, z powodu, że dla
 μ nieskończenia wielkiego liczby P, \dots są
także nieskończenie wielkie, zależne od μ ;
że zatem iloczyny z wyznaczników części-
owych tych liczb przez funkcyje liniowe
z liczb e, \dots mogłyby dążyć do wartości
także różnych od zera, dla μ nieogranicze-
nie rosnącego.

Z tego wszakże cośmy tu powiedzieli za-
rzutu p. Cohnowi nie czynimy, jako auto-
rowi dopiero początkującemu; owszem win-
szujemy mu bardzo, że już tak wcześnie
umiał się zająć tyle poważną i trudną pra-
cą p. Hermite'a. Zarzucilibyśmy mu tylko
nieczystość języka, a osobliwie bardzo czę-
ste używanie rusycyzmów. Wł. G.

Z nauk przyrodniczych znajdujemy roz-
prawkę p. I. S. Konitza stud. kursu III p. t.
*Przyczynek do absorpcyi światła przez węglow-
odory szeregu aromatycznego*. Dziwny
zbieg okoliczności zdarzył, że zupełnie
współcześnie z ukazaniem się pracy p. Ko-
nitza ogłoszoną została w Anglii praca nad
tymże samym przedmiotem W. I. Russella
i W. Lapraika (*Journal of the chemical so-
ciety*, Nr CCXXI, kwiecień 1881, str. 168),
daleko obszerniejsza i ujmująca w syste-
mat to, co u p. Konitza stanowi pojedyń-
cze tylko fakty. P. Konitzowi wiadomem
było, że wspomnieni badacze pracują nad
pochlaniem światła przez bezbarwne
płyny; w rozprawie swej cytuje nawet (str.
258) wzmiankę ich, uczynioną o tym przed-
miocie w czasopiśmie *Nature* w końcu ubie-
głego roku, nadmienając, że czytał ją już
po ukończeniu odnośnych robót eksper-
ymentalnych — z czego wynika, że wybór
jednakowego przedmiotu poszukiwań był
dziełem prostego przypadku. Obecnie, je-
śli p. Konitz dalej swe badania zamierza
prowadzić, praca Russella i Lapraika może
być mu bardzo pomocną na tej drodze.

Tyle o stosunku pracy młodego autora
do innych w tym samym przedmiocie. Co
się tyczy jej treści, to stanowi ona badanie
widm światła białego, po przepuszczeniu
go przez bezbarwne płynne aromatyczne
węglowodory, a mianowicie przez benzol,
toluol i ksylol.

Rezultaty w tych trzech razach sprowa-
dzają się do otrzymania smug absorbcyj-
nych w czerwonej i zielonej części widma
i bardzo mało różnią się od danych Russella
i Lapraika, a różnice te wytłomaczyć mo-
żna nioco odmienną organizacją doświad-
czeń. (Rura Russella i Lapraika dłuższa od
rury p. Konitza, — pierwsi używali światła
lampy Arganda lub światła Drumonda —
ostatni — lamp gazowych). Wziawszy na-
wet pod uwagę tę okoliczność, że p. Konitz
badał widma w rurze (120 centym.) dwa-
razy krótszej, aniżeli Lapraik i Russel (8
stop ang.), należy się zupełne uznanie wpra-
wie p. Konitza w obserwacye. Też same
bowiem smugi, które R. i L. obserwowali
dopiero w 8-stopowej rurze, p. K. widział
już w rurze o połowę krótszej, co dowodzi,
iż znakomicie wykształcił swe oko do
tego rodzaju badań.

Ostatecznym wynikiem ogólnym powyższej pracy, wynikiem, którego niestety pan Konitz nie zanotował w swej rozprawie, jest fakt, że zastępując w benzolu pojedyncze atomy wodoru przez grupy metylowe, zwiększamy łatwość przepuszczania promieni bardziej łamliwych; bo smugi w zielonej części widma są jaśniejsze i węższe przy ksylolu, niż przy toluolu, a przy toluolu jaśniejsze i węższe niż przy benzolu, smugi zaś w czerwonej części widma w miarę zastępowania wodoru przez metyle, przenoszą się coraz bardziej w stronę czerwonego końca widma.

Fakt ten na tyle uderzył Russella i Lampaika, że zapragnęli oni sprawdzić, czy jest on ogólnym, — badali w tym celu widma jedno — i dwu chlorbenzolu i przekonali się na tych dwu ostatnich ciałach, że wprowadzenie chloru zamiast wodoru zwiększa przezroczystość dla promieni bardziej łamliwych, a zmniejsza — dla mniej łamliwych, zupełnie w ten sam sposób, jak wprowadzenie metylu.

B.

(Dokończenie nastąpi).

BOEROWIE I TRANSVAAL.

I.

Pozostawiając pismom codziennym rolę donoszenia nowin bieżących, staramy się natomiast z każdej sprawy świeżej wyciągnąć dla czytelników naszych poważną korzyść umysłową. Nie możemy w *Prawdzie* prowadzić szczegółowej kroniki wypadków politycznych, ale pragniemy nakreślić ich obraz w ogólnych rysach. Trzy ostatnie ukończone lub nieukończone wojny: na południu i północy Afryki oraz na półwyspie Bałkańskim ściągnęły uwagę świata cywilizowanego na trzy ludy: boerów, albańczyków i kumirów. Poznajomiej z nimi czytelników naszego pisma jest właśnie naszym zadaniem.

Dla spełnienia go nie uciekamy się do wątpliwej wiarygodności doniesień gazeciarskich, ale, o ile na to literatura europejska pozwala, do dzieł poważnych. Za źródło do poznania pierwszej grupy, boerów, posłuży nam praca A. Trollope'a p. t. *South Africa*.

Dawna niepodległa Rzeczpospolita Transvaalu stała się kolonią angielską od r. 1877. Ze wszystkich posiadłości angielskich jestto najmniej dostępna. Jej stolica Pretoria oddalona od morza 400 mil., a niedawno jeszcze lwy i dzikie plemiona gospodarowały na drodze do niej z całą swobodą. Niesława boerów¹⁾, potomków osadników holenderskich, opornych wszelkiemu postępowi, wiodących życie niechlujne i prostacze, jest powszechnie znaną, i Trollope zetrzeć jej nie usiłuje. W chatach z dwu izb złożonych sypiają pomieszani, kobiety z mężczyznami, nie myją się nigdy, w dniu i w nocy noszą też same ubranie, żywią się mięsem dzikich zwierząt, unikają zętknięć sąsiedzkich i nie uprawiają swych pól. Jestto wynik ich życia odosobnionego. Potomkowie europejczyków we wszystkich ziemiach odkrytych i zdobytych przedstawiają tenże sam widok. Istnieje między boerami dziwny zwyczaj wyszukiwania sobie żon. Młodzieniec, oczyściwszy się z brudu i przywdziałwszy porządniejsze ubranie, siada na konia i jeździ po kraju szukając sobie żony. Znalazłszy ją, ofiaruje wybranej świecie, której przyjęcie jest znakiem zgody. Pierwsze odwiedziny trwają dopóty, dopóki świeca się nie spali; naturalnie czasem kochankowie dopomagają sobie rozmaitymi sposobami, ażeby się spaliła jak najpóźniej. Boer albo *duczman* nie-

nawidzi przedewszystkiem swego najbliższego krewniaka, świeżo przybyłego z Europy holendra, czuje zaś swą niższość wobec anglika.

Przejdźmy jednak do geografii i historii tego kraju.

Transvaal, jak to nazwa sama wskazuje, położony jest na północ od Vaalu. Z tej strony granica jest jasno wytknięta, inne jednak punkta, niezbyt wyraźnie określone, bywały nieraz powodem sporu anglików z najbliższymi ich sąsiadami. Na zachodzie zulusi roszczą pretensje do ziem, zajętych przez anglików; na północno-wschodzie znowu — portugalczyce, którzy nie okazują zamiarów zaborczych, ale niezbyt chętnie godzą się na kopce, przez Anglię usypane. Ku północy granica Transvaalu nie jest dotychczas ściśle oznaczoną. Zaniedbanie ścisłego wytknięcia punktów granicznych doprowadziło Rzeczpospolitą Transvaalu do upadku, z którego skorzystała Anglia i krajem tym zawiadnęła. Ziemię, do których rościli pretensje holendrzy, krajowcy uważali za swą własność, a żądania z ich strony były tak nieograniczone, nieokreślone, tak obszerne wreszcie, że dla dogodzenia im, trzebaby kraj opuścić. Sicoweni, wódz krajowców, najbardziej nieprzyjazylny dla holendrów, domagał się w ostatnich czasach wydania nawet tego terytorium, na którym wznosiła się Pretorya, stolica Rzeczypospolitej, miejsce pobytu parlamentu.

Traktując z krajowcami w sprawie sporów granicznych trudno uzyskać cokolwiek za pomocą ustępstw. Trudno też opierać się na podstawach ścisłej sprawiedliwości. Dla uregulowania kresów niezbędną jest siła zbrojna, a taką zdoła wystawić zapewne Anglia. Przy wytknięciu nowych punktów granicznych do kolonii angielskiej włączone zostaną posiadłości krajowców na przestrzeni kilkuset mil kwadratowych. O ile w przybliżeniu przynajmniej określić można, ludność kolorowa kolonii wynosi od 25.000 do 80.000 dusz. Zdawałoby się mogło, że krajowcy zadowoleni będą z włączenia ich do liczby poddanych angielskich, nawet gdy im za to każą płacić po 10 szyl. od chały; w rzeczywistości jednak rzecz ma się inaczej: pragną oni zachować niezależność, na równi z zulusami, którzy są najbliższymi ich sąsiadami. Wynikają z tego powodu niezmiernie trudności i zawikłania.

Historja zajęcia Transvaalu podobną jest do historii okupacji całej Afryki południowej w ciągu bieżącego wieku. Holendrzy ustępowali zawsze anglikom, ci zaś ostatni albo ich ścigali, albo też pozwalali im uciekać, wyrzekłszy się zamiaru włączenia ich do liczby swych poddanych. Holendrzy ze swej strony, jeżeli nie pałają nienawiścią, ku anglikom, to oburzają się na ich sposób postępowania. Pogląd ich na stosunek do swych zwycięzców, dałby się streścić w następujących wyrazach:

„Jesteście bezwzględni ludźmi dumnymi i nader potężnymi. Nie pragniemy też stawiać wam oporu. Myśmy pierwsi zdobyli, następnie upравили i ucywilizowali kolonię na Przylądku; ponieważ jednak jest wam ona konieczna, potrzebna, zabierzcie ją i zróbcie z nią, co się wam podoba. Pozwólcie jednak nam odejść, dokąd będziemy chcieli i robili, co się nam podoba. Nie lubicie niewolnictwa; my je lubimy; udajemy się więc do innego kraju, gdzie znajdziemy sobie niewolników. Narażamy się przytem na wiele nieszczęść, a może i zgubę, ale wolimy to wszystko, niż wasze prawa i waszą filantropję.“

Kiedy holendrzy wtargnęli poraz pierwszy do kraju, noszącego obecnie nazwę Transvaalu, znajdowali się w drodze do Natalu. Doszły ich wieści, wystawiające urodzajność jego ziemi i starali się przedostać doń z północy, przeprawiwszy się przez rzekę Pomarańczową. Krocząc przez miejscowość, noszącą obecnie nazwę wolnego

państwa Orange, napotkali strasznego wroga, imieniem Maculekaca, naczelnika plemienia Matabelów, z którymi zmuszeni byli przebyć ciężką walkę. Wycierpiawszy wiele, zdołali wreszcie wypędzić Maculekaca z zajmowanego przez nich kraju.

Następnie wynikło w pośród nich rozdwojenie; zaczęli toczyć między sobą spory o to, że jedni chcieli pozostać, drudzy zaś udać się na wschód, do ziemi obiecanej Natalu. Wreszcie ostatnia partya zwyciężyła i wszyscy udali się za nią.

W ciągu lat dwunastu wycieczki zaborcze do Transvaalu czynili jedynie holendrzy usposobienia bardziej awanturniczego, pionierowie wolności, którzy woleli raczej zamieszkiwać w bezpośrednim sąsiedztwie dzikich, aniżeli mieć jakiekolwiek stosunki z prawem angielskiem. Ludzi ci nie poddawali się żadnym regułom. Niektórzy z nich osiedlili się na zachodzie i na północy Vaalu, gdzie wznoszą się dzisiaj miasta Potchefstroom i Klerksdorp; inni znowu zamieszkali na południe i na wschód od tej rzeki.

Ci ostatni dowiedzieli się niebawem, iż gubernator Przylądka zamierza przysłać im swych urzędników. Było to dla nich obrazą, której znieść nie mogli. Andrzej Pretorius, najsurowszy i najenergiczniejszy z holendrów, z nienawiści do gubernatora opuścił wówczas właśnie Natal i osiadł w pośród nich. Zorganizował on powstanie przeciwko zwierzchnictwu anglików, nie w celu zażądania zwrotu terytorium leżącego na północ od Vaalu, ale dla zapewnienia niepodległości holendrom, osiadłym na południe od tej rzeki. Wynikiem ruchu tego była bitwa pod Boon-Plaats. Pobity przez anglików Pretorius zmuszony został przeprowadzić się na drugą stronę rzeki Vaal.

W kraju, gdzie osiedlił się poprzednio, nie mógł dłużej pozostać. Rząd angielski wyznaczył 2.000 funtów szterlingów w nagrodę temu, kto dostarczy głowę wicherzyciela. Fakt ten uważany być może za początek zajęcia Transvaalu przez europejczyków.

Ukonstytuowano natychmiast pewien rodzaj Rzeczypospolitej, której naczelnikiem obranym został Pretorius. Maculekace i Matabele zostali wygnani, ale inne plemię krajowców, Behuanasy, nie chcieli ustąpić z zajmowanego przez nich terytorium. Wynikiem ich oporu był szereg walk krwawych, po czem część krajowców została ujarzmiona. Dzieci dzikich, wzięte do niewoli, oddane zostały rolnikom holenderskim; używano ich do uprawy roli i obchodzono się z niemi, jak z niewolnikami.

Taki był stan rzeczy w chwili, kiedy Anglie postanowili przyznać zbiegłym swym poddanym zupełną swobodę działania w nowej ich ojczyźnie po za rzeką Vaal. Po cóż wreszcie było ich ścigać, kiedy udaliby się prawdopodobnie w kierunku Limpopo ku północy, lub może jeszcze dalej? Postanowiono więc w 1852 r. zawrzeć traktat ze zbiegami, w którym pełnomocnicy rządu angielskiego uznali nowo założoną Rzeczpospolitą i wraz z Pretoriusem zająć się mieli jej urządzeniem. Dwa paragrafy tego traktatu są szczególnie ciekawe. Jeden z nich znosił niewolnictwo w nowej Rzeczypospolitej, warunek łatwy do napisania, o wiele trudniejszy jednak do wykonania; drugi stanowi, iż boerowie nie mogą zawierać sojuszu z krajowcami, zamieszkałymi na północ od rzeki Vaal.

Andrzej Pretorius obranym został niezwłocznie na pierwszego prezydenta uznanego państwa, które przyjęło niebawem nazwę Rzeczypospolitej Afryki południowej. W dwa lata później (w lipcu 1853 r.) umarł Pretorius i syn jego obrany został na miejsce ojca. Pretorius był w istocie człowiekiem niezwykłym, a przynajmniej największym wrogiem anglików w pośród holendrów osiadłych w Afryce.

¹⁾ Boers (bárs) dosłownie chłopci (niem. Bauer).

Był on przekonany, że jako wódz narodu wybranego, a rzuconego dłoń losu pomiędzy dzikich, ma zupełne prawo postępować z nimi, jak z wrogami, i korzystał z prawa silniejszego, aby wytępić żywioł obcy lub ujarzmić go i zużyć jako siłę roboczą.

Po śmierci pierwszego Pretoriusa rzeczpospolita miała wiele chwil ciężkich do zniesienia. Stolica znajdowała się naówczas w Potchefstroom, w pobliżu rzeki Vaal; obszerne zaś terytorium, leżące na północy, pozbawione było zupełnie niemal jakiegokolwiek zarządu. Koloniści zmuszeni byli toczyć ustawicznie walki z krajowcami, mszczącymi się za wydarcie im ziemi oczyszczonej. Historia rzeczypospolitej w tej epoce pełną była krwawych ustępów, gdyż biali padali nieraz ofiarą nienawiści dzikich. Położenie zmieniło się nieco dopiero od czasu przeniesienia stolicy z Potchefstroom do Pretorii, miasta nazwanego tak na cześć założyciela rzeczypospolitej.

W roku 1853, po śmierci Andrzeja Pretoriusa, na prezydenta, jak wspomnieliśmy, obrany został syn jego; lecz w roku 1859 obrano go prezydentem wolnego państwa Orange, na miejsce Bostrofa, który usunął się z tego stanowiska. Pretorius syn powziął był poprzednio jeszcze zamiar połączenia obu państw w jedną rzeczpospolitą Afryki południowej. Myśl, iż będzie można usunąć anglików z Afryki, nie siłą oręza, ale przez rozbudzenie uczuć republikańskich, zaczęła kielkować podówczas w głowach kilku polityków Transvaalu. Burgers ostatni prezydent zachwycał się tą utopią i wiecznie pracował nad jej ziszczeniem. Myśl sama jest bez zaprzeczenia wielką, bardzo naturalną w holendrów republikanie, bardzo patryotyczną, jak na holendra osiadłego w Afryce; idee takie jednak usprawiedliwiają się wtedy jedynie, jeżeli się ziszcza; niespełnione — uważane bywają za czcze rojenia, i szkodzą nieraz tym, którzy je głoszą. Ani Pretorius młodszy, ani Burgers nie będą nigdy uważani za dobroczyńców swego kraju, ani za zdolnych mężów stanu, chociaż każdy z nich pragnął stać się Waszyngtonem Afryki południowej.

Volkraad wolnego państwa nie podzielał poglądów prezydenta, który przybył doń z Transvaalu: ten ostatni usunął się też z zajmowanego stanowiska w 1863 r. Wybrany został jednak niebawem na prezydenta rzeczypospolitej północnej i spełniał obowiązki te aż do 1872, kiedy usunął się zupełnie od życia publicznego. Wówczas na jego miejsce obrany został na pięcioletni przeciąg czasu ostatni prezydent, Burgers.

(Dokończenie nastąpi).

LIBERUM VETO.

List Niemca przeciw Polakom. — Wielki Fritz wszystkiemu winien. — Sprowadzenie Niemców do orkiestry polskiej. — Obfitość koncertantów. — Przyszłość p. Noskowskiego. — Chanaan literacki obiecany przez p. Szymanowskiego. — Wątpliwe nadzieje.

Przed kilku dniami odebrałem list — jeśli podpis nie myli — prawdopodobnie od Niemca, który pod godłem: „Ein Schlachten war's, nicht eine Schlacht zu nennen“ wypalił *verba veritatis* Polakom. Długa ta perora zawiera następujące *verba* główne: Polacy, przechwalając siebie, zniesławiają inne narody, a gdy jaki cudzoziemiec osądzi ich surowo, krzyczą w niebogłosy; tak krzyczeli na E. Franzosa za to, że ostrzegał gubernantki, żeby nie szukały chleba w Polsce, a przecież los jednej z nich sprawdził niedawno słusność tego ostrzeżenia; podobnie wymyślają na Niemców, kupujących polskie majątki, chociaż ci pod-

nosząc gospodarstwa, zrujnowane przez polską nieudolność i marnotrawstwo, dźwigają dobrobyt kraju. Jakkolwiek cały ten akt oskarżenia powiedzianym był na ucho, powtórzyłem go w głównej ośniewie, ażeby z jego cichymi i głośnymi wyznawcami porozmawiać publicznie. Przedewszystkiem zachodzi pytanie: dla czego — mówiąc słowami wspomnianego listu — „Polenhaus ist unsieghar“, t. j. dla czego Polacy nienawidzą głównie Niemców? Dla czego nie wystraszą z pośród siebie Francuzów, Włochów, Anglików, Szwedów, Szwajcarów i t. d.? Sam względem mniejszej ilości tych ostatnich nie może tu być rostrzygającym imuszą z nim łączycie się inne. Okawał gruntu, zakupiony przez Francuza, Polak nawet nie stęknął, a o kawalek, nabyty przez Niemca, wzywa pomsty niebios: dla czego? Wszakże w obu wypadkach traci ziemię. Kompania francuska ujmuje w swe ręce eksploatację jakiejś kopalni lub tramwajów — w polskiej prasie cicho; niechże Niemiec założy jedno krosna tkackie, zaraz go ona podkurzy; czemu? Widocznie nie w fakcie napływu, ale w naturze składających go żywiołów tkwi przyczyna tej szczególnej nienawiści. I jakaż to przyczyna? Po prostu taka: za każdym Niemcem, przybywającym do nas, wchodzi cień Fryderyka W-go. Ten upiór nas straszy, on w nas budzi zgrozę i odrazę. Bez tego cienia każdy pojedynczy Müller i Schultze byłoby ludźmi znośnymi, nawet sympatycznymi; on przeszkadza zgodzie, harmonii, braterstwu. Niech Niemcy usuną ze swej historii Wielkiego Fritza, albo niech nas nauczą go nie widzieć, a nie będziemy im wydierali z ust kęsa naszego chleba lub pragnęli, ażeby im się zamienił w truciznę. Francuz, Włoch, Anglik — są dla nas przyjemni, bo nie wskrzeszają w pamięci naszej żadnego Fritza.

Czytając poezję Goethego — mówił raz do mnie pewien znajomy — pragnę ich karty całować; ale gdy sobie przypominę, że są niemieckie, czuję chęć w nie napluć.

Kto temu winien? Wielki Fritz.

Inny znowu najpoważniej dowodził:

Oni mieli tylko znakomitych rabusiów. Wszyscy ich wielcy myśliciele, poeci i artyści byli albo słowianami, albo Żydami, albo należeli do innych szczepów; Teutonia nie zrodziła ani jednego geniusza.

Kto temu winien? Wielki Fritz.

A iluż jest między nami takich, którzy się modlą: Panie Boże miły, jeżeli nas mają zjeść, niechże przynajmniej nie zjedzą Niemcy.

Kto temu winien? Wielki Fritz.

A zatem: kto chce w każdym wypadku pojąć nienawiść Polaków do Niemców, niech do wszystkich względów obecnych doda przeszłe zasługi Wielkiego Fritza.

Nienawiść ta nie przeszkadza nam naturalnie używać w każdym przedsięwzięciu pomocy zachodnich sąsiadów. Ot np. p. Zyg. Noskowski postanowił utworzyć orkiestrę z rodzinnych sił złożoną. W tym celu sprowadził sobie... Niemców, dopełnił ich siłami miejscowemi i ma orkiestrę „polską.“ A dla czego sprowadził? Czy może jest także „kulturträgerem?“ czy nie posiadamy dostatecznie uzdolnionych muzyków? Owszem posiadamy, ale samych pierwszorzędnych solistów, samych koncertantów, którzy wstydziłiby się grać w orkiestrze Doliny Szwajcarskiej. Niemiec rodzi się do roli podrzędnej, nie lekceważy swego udziału w pracy zbiorowej, jednego dnia może grać w orkiestrze, a drugiego dać własny koncert. U nas... inaczej. Załedwie młody artysta się wypierzy, natychmiast zostaje arystokratą sztuki, jedzie do Moskwy, Lipska, albo nawet do Ciechocinka i tam zdumiewa świat swoją genialnością, z której Lipsk sobie żartuje, ale zato Ciechocinek bardzo się cieszy. Ponieważ zaś prasa namiętnie wyszrubowywa w górę koncertantów, ponieważ głosy zakątkowych dzienników zagranicznych o naszych artystach są starannie powtarzane,

należałoby więc do istotnych cudów świata ten, żeby w tych kadzidlach nie uwierzyło najmniej, że jest szcurem na ołtarzu sztuki. Skutkiem tego posiadamy bardzo wielu i bardzo utalentowanych koncertantów, ale nie mamy artystów gotowych, nade wszystko gotowych do złożenia porządnej orkiestry. Zaręczam, że żaden z naszych Maierów, będących chlubą towarzystwa Bilsego, nie poniżyłby się do służenia w orkiestrze i wolalby raczej ośniewać samodzielnie Skierniewice lub Maryampol, niż trzymać pierwsze skrzypce na estradzie Doliny Szwajcarskiej i słuchać paleczki p. Noskowskiego. Polak nie obdziera skór z koni, nie jeździ berlinką, więc dla czegoż ma grać w orkiestrze, kiedy może pojechać do Drezn, popisać się tam wśród trzydziestu osób a na świadectwo swego tryumfu przesłać do warszawskich dzienników pochwałę *Dresdener Nachrichten*. Poślednie czynności niech wykonywają Niemcy, naturalnie dopóty, dopóki nam nie przyjdzie ochota do owych niskich zajęć i poskarżenia się na wyparcie żywiołów miejscowych. Dla tego też przepowiadam p. Noskowskiemu następującą przyszłość: za lat kilka p. J. Jeleński wyda nową edycję rozprawy *Żydzi, Niemcy i my* i uzupełni ją przykładem orkiestry w Dolinie Szwajcarskiej, dowodzącym rozgospodarowania się Niemców u nas. Naturalnie p. Noskowski otrzyma nazwę kulturtragera i dla tego radzę mu dziś zaopatrzyć się na ten wypadek w pokwitowania z wszelkich pretensyj od miejscowych artystów. Tu winienem autorowi wzmiankowanego poprzednio listu wypłacić należną słusność: tak panie, Wielki Fritz przeszkadza nam kochać Niemców, ale nie przeszkadza wyręczać się nimi.

W zeszłym tygodniu uczciliśmy na tem miejscu świeżą nominację ambasadora literackiego w Petersburgu, który ma pilnować praw własności literackiej Francuzów. Otóż p. W. Szymanowski sprostował w *Kuryerze Warszawskim*, że p. Michelet nie jest posłem międzynarodowego stowarzyszenia literackiego, do którego on należy, lecz odrębnego towarzystwa literatów paryskich, które międzynarodowego charakteru nie posiada. Jednocześnie wszakże p. Sz. spróbował dowieść nam korzyści z zawarcia konwencji co do praw autorskich. Korzyści te dla nas byłyby następujące: 1) niepowołani straciliby nędzny zarobek, ale nie byłibyśmy zalani potopem nędznych tłumaczeń; 2) liche przekłady, wypierające dotąd niskością ceny utwory oryginalne, musiałyby zniknąć i ustąpić miejsca pracom oryginalnym, które wzrosłyby w liczbie i cenie; 3) najwięcej zyskaliby Polscy autorowie dramatyczni, których dziś zubożają obcy. P. Sz. obiecuje takie złote góry, że niemal uśmiecha im się możność wystawienia sobie za dramaty i komedye pięknych willi bodaj na Koszykach i Pelcowiznie. Wszystko to byłoby cudowne, gdyby... tak było. Ale p. Sz. zapominał najprzód, że wytwór pewnych płodów literackich zależy nietylko od dobrych chęci, odpowiednich uzdolnień i zbytu, lecz także od materyału i warunków pracy. Mimo zręcznych robotników, szerokiego zapotrzebowania i cel ochronnych, nie mamy dobrej i taniej porcelany, bo nie mamy potrzebnej gliny. Podobnie nie możemy zdobyć się na wielkie dzieła naukowe, bo nie posiadamy znakomitych uniwersytetów, bibliotek, pracowni i innych środków pomocniczych. Jeżeli więc będziemy musieli opłacać przekłady książek obcych, nasze własne piśmiennictwo się nie wzmoże a oświata spadnie. Zamiast talerzy porcelanowych, zaczniemy używać misek glinianych. P. Sz. odpowie na to, że owa opłata byłaby albo bardzo mała, albo żadna. W czem jednak rękojmia? Kto zaręczy, że wydawca zagraniczny, przyzwyczajony do innych stosunków, nie zażąda od nas za przekład wynagrodzenia, przecho-

dzącego nasze siły i nie zatamuje naszemu ogółowi przystępu do poznania jakiejś pożytecznej książki? Żaden kodeks wymagań jego w stałą normę nie ujmie, a swoboda interesu, jak wiemy, rozciąga się bardzo łatwo. Co do swojskich utworów dramatycznych, opłacanych u nas istotnie żebrać, to dla podniesienia ich ceny nie potrzeba konwencji; wystarczy zniesienie monopolu teatralnego, umiejętna i dbała o dobro swej literatury reżyseria a wreszcie dopuszczenie autorów do udziału w zyskach. Przypuśćmy, żeśmy już powstrzymali napływ tłumaczeń, że pisarze polscy dostarczają teatrowi sztuk znakomitych — co to pomoże, jeśli on — jedyny w Warszawie — powie, że nie da ani grosza więcej, niż 50 rs. za akt? Z tych powodów nadzieje p. Sz. wydają nam się, jak wszystkie nadzieje protekcyonistów, bardzo zawodnymi.

Posel Prawdy.

M U Z Y K A.

Po karnawale. — Doba postna. — Poranek muzyczny na korzyść studentów puławskich i koncert na dochód uczniów gimnazjum. — Koncerty dyrekcyi teatrów. — Koncert historyczny. Towarz. Muzyczn. — Orkiestra Dolny Szwajcarskiej. — Koncert dla kurpiów.

Karnawał, pomimo swej niepomiernej długości, dosyć szybko przeminął dla bawiących się warszawian. Sztuka muzyczna miała w tym okresie znaczny udział, zbyt wprawdzie jednostronny i za mało samoistny, byśmy o nim potrzebowali tu wspominać. Rytmika mazurów, walców, kontredansów i t. p. popisów domowej choreografii, rozlegających się nie raz do pierwszych promieni jutrzeńki — wszechwładnie zapanowała nad Warszawą. Siedem tygodni wielkiego postu po biesiadach karnawału miało być czasem poważnych rozmyślań i zastanowienia. Rzeczywiście to, co nam nie jeden sezon koncertowo-postny ofiarował, śmiało i profan i specjalista mógł porównać z produkcją biblijnych siedmiu lat nieurodzajnych. Szafki afiszowe zwykle w tej porze barwiły się tęczo — koncertów, poranków muzycznych bez liku, korzyści zaś z tego dla... sztuki, jeżeli w podobnych okolicznościach o sztuce mówić można, prawie żadnej. Ten występuje z koncertem dla tego tylko, że chce się szanownej „publice” przypomnieć, a nie ma innego niestety sposobu ujawnienia swego artystycznego bytu. Ów zaś ma... życzliwych przyjaciół, którzy namawiają do koncertowania, aby wykazać swe dobre chęci dla artysty. W ten lub podobny sposób mniej więcej powstaje myśl muzycznego zużycia wieczorów postu. Koncertów, któreby ujawniały rzeczywistą artystyczną pracę, twórczość, postęp, bardzo mało. Filantropia zaś przy tem nie wypuszcza ze swych szponów wszelkich czynników artystycznych, w szczególności zaś muzycznych. Aby biedaka nakarmić, przyodziać, dać mu schronienie, trochę wiedzy — nie obędzie się bez muzyki, deklamacji. Doprawdy jesteście dobroczynni — ale zbyt głośno i ostentacyjnie dobroczynni. Czyżby w tym kierunku nie należało choć trochę zreformować naszą zbyt samolubną dobroć?

Straszne wypadki przerwały sezon koncertowy w samym początku. Dopiero po Wielkiejnocy sezon ten odżył na nowo, energicznie korzystając z kilku tygodni mniej ciepłych. Z koncertów dobroczynnych mieliśmy poranek muzyczno-deklamacyjny na dochód studentów puławskich, na którym warszawianie zyskali sposobność zapoznania się z poematem symfonicznym *Festklänge* Liszta; oraz koncert dla niezamożnych uczniów gimnazjalnych, z bardzo pokaznym rezultatem materialnym.

Koncerty dyrekcyi teatrów pomimo rozmaitych ustępstw dla publiczności (połączenie koncertu z widowiskiem scenicznym, przeniesienie auditorium do sali ratuszowej) nie cieszyły się powodzeniem. Pano wie: Wieniawski, Viardot i in. popisywali się przed bardzo nieliczną garstką wytrwałych lubowników.

Z występów wirtuozowych zanotować musimy koncerty pp. Schlöttera i Lewity. Pan Schlötzer przedstawił się jako zbyt *materialistyczny* wirtuoz, zapominający o duchowej stronie sztuki; p. Lewita zaś umiał dosyć harmonijnie dwa te czynniki łączyć.

Dla sztuki naszej jednak najważniejszemi były: praca około koncertu historycznego muzyki polskiej — pod dyrekcją p. Adama Münchejmera i działalność cicha, lecz żywotna p. Zygmunta Noskowskiego jako dyrektora Towarzystwa muzycznego.

Dochód z koncertu historycznego przeznaczony był na wydawnictwo prac etnograficznych O. Kolberga, dotyczących ludu naszego. Publiczność nasza tłumem zebraniem się na ten koncert dowiodła z jednej strony współczucia dla skromnego a wytrwałego pracownika, a z drugiej zainteresowania się naszą przeszłością i przyszłością muzyczną. Przeszłość ta, rzeczywiście bardzo świetna, wzbudza żal, że wypadki dziejowe niekorzystnie oddziaływały na rozwój naszego artysty. Wiek XVI imionami Wacława Szamotulskiego i Mikołaja Gomółki pozwala sztukę naszą przeciwstawić europejskiej bez rumieńca patryotycznej zarozumiałości. Nawet wiek XVIII, w dziełach ks. Gorczyckiego, dał dowody istotnej, nie zaś tylko formalistycznej żywotności, o którą zawsze jest posadzany w utworach sztuki. Początki muzyki dramatycznej polskiej (koniec XVIII i początek XIX stulecia) dobitnie wykazują podstawy swe w pieśni ludowej. Utwory te, w swoim czasie śpiewane w całej ojczyźnie naszej, obecnie mają wartość tylko historyczną.

Powtórzenia tego koncertu należy się nie tylko spodziewać, ale nawet domagać wobec entuzjazmu słuchaczy.

Teraz zaś słów parę o Towarzystwie Muzycznym. Instytucja ta widocznie wzmaga się na swych siłach. Szczególniej występy choralne świetnie świadczą o zdolnościach nie tylko artystycznych, ale i pedagogicznych p. Noskowskiego. Publiczność przyjmująca dawniej dosyć humorystycznie zbiorowe popisy, obecnie słucha ich z przyjemnością, żąda nawet powtarzania niektórych utworów. Oby to było początkiem zamięłowania muzyki zbiorowej wokalne, w którą tyle prawdziwego natchnienia włożył geniusz mistrzów. W zamięłowaniu tem dopiero widzieć byśmy mogli zarodek prawdziwego odrodzenia naszej sztuki ojczystej.

Pan Noskowski pracuje energicznie i na innem polu. Udało mu się stworzyć orkiestrę symfoniczną, złożoną, o ile to było możebnem, z sił krajowych. Orkiestra ta koncertować zaczęła w d. 8 b. m. w Dolinie Szwajcarskiej. Pierwsze koncerta każą pochlebnie wróżyć o jej powodzeniu. Dyrektor zamierza w programach szczególnie uwzględnić żywioł swojski. Spodziewamy się, że to stosować się będzie do kompozytorów żyjących, których karyera twórcza jeszcze nie jest ukończoną; bo wyznać musimy, że do *swojskości symfonicznej* niezbyt ubiegłych czasów zbytniego upodobania czuć nie możemy.

Kończymy nasze sprawozdanie wzmianką o koncercie na głodnych kurpiów, dla których d. 9 b. m. pod przewodnictwem hr. Al. Potockiej artyści nasi wymyślali i wydeklowali pokazną sumkę!

S. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 12 maja.

Książę Aleksander bułgarski, którego kosztem bawiono się potrosze w Europie, stał się naraz niespodzianie bohaterem chwili, sprawiwszy rządzonemu przez siebie krajowi interesujące przesilenie konstytucyjne, z przymieszką czegoś w rodzaju zamachu stanu. Już od tygodnia przeszło zaczęły się w dziennikach pojawiać pogłoski, że książę zamierza usunąć ministeryum i zawiesić konstytucję, aby tą drogą wprowadzić pożądany przezeń porządek rzeczy. Nie wierzono wieściom, nawet niewiele na nie zwracano uwagi, aż naraz w dniu 10 b. m. telegraf rozniósł po Europie wiadomość o wydaniu proklamacyi księcia, która zapowiedzi poprzednie prawie w zupełności potwierdziła. Książę Aleksander oświadcza w manifestie do bułgarów, iż nadzieje nadania krajowi prawidłowego rozwoju na gruncie istniejącej konstytucji zawiodły; że kraj jest zdeorganizowany na wewnątrz a zdyskredytowany na zewnątrz; że stan taki dłużej trwać nie może, a przeto książę zwołuje wielkie zgromadzenie narodowe, któremu przedstawi swój plan reformy obecnych stosunków, jeśli zaś konstytuanta takowego nie przyjmie, to książę złoży koronę i opuści Bułgarię. Tymczasem udziela dymisy gabinetowi Karawelowowi i poleca ministrowi wojny utworzenie prowizorycznego gabinetu. Wszystko to, samo przez się wysoce sensacyjne, nabiera jednak właściwego wyrazu i koloru dopiero po rozważeniu okoliczności towarzyszących przesileniu. Dwie w tym względzie istnieją wersje: wedle jednej chodzi rzeczywiście tylko o utrwalenie wewnętrznego ładu za pomocą poprawek w konstytucji, poruczenie zaś rządów tymczasowych ministrowi wojny, którym jest rosyjski generał, p. Ehrnroth świadczyćby miało o utrzymaniu w dalszym ciągu węzła łączącego Bułgarię z Rosją; druga wersja, mająca więcej zewnętrznych cech prawdopodobieństwa, wskazuje wpływ austriacki jako przyczynę przewrotu. Manifest księcia Aleksandra, który chwałą dzienniki wiedeńskie a gani prasa rosyjska, miał być ułożonym i nawet wydrukowanym w Wiedniu, podczas ostatniej bytności tamże księcia bułgarskiego, który, jak to utrzymują inspirowane dzienniki, dawną taktykę zimnej grzeczności względem Austrii zmienił na objawy gorącej życzliwości i sympatii. Pogłoski sięgają tak daleko, że mowa jest o zarządzie Bułgarią za pomocą międzynarodowej komisji, w której zasiadałoby dwóch *generałów* austriackich. Wedle słów jednej z depeesz petersburskich, ludność Bułgarii obawia się najścia austriaków i całą nadzieję obrony w potrzebie pokłada w Rosji i jej Cesarzu. Jest w tem bezwątpienia wiele przesady, ale zdaje się być rzeczą niewątpliwą, iż polityka austriacka, korzystając ze stosunków, zaprzatających na razie Rosję, weiska się przyspieszonym krokiem w półwysep Bałkański, starając się jak najdalej posunąć tam tak zwaną „sferę wpływu” swojego. Działanie to prowadzone z subtelną ostrożnością musiało zajść dość daleko, skoro towarzyszą mu tak sensacyjne objawy; można przeto być przygotowanym na rychłe rozwinięcie poważnych zakłóceń w Bałkanach.

W Tunisie francuzi prawie już ukończyli kampanię, w której jedynym seryo przeciwnikiem był tylko — deszcz. Najważniejsze pozycje terytorium krumirów znajdują się już w ręku wojsk francuskich, które stoją o godzinę drogi od stolicy Tunisu. Sprawa ograniczy się więc teraz tylko na akeyi dyplomatycznej, która swoją drogą może być przewlekłą, gdyby państwa eu-

ropejskie chciały wziąć na uwagę protest Porty Otomańskiej, na co jednak nie zanoszą się wcale. Groźnym punktem na widowni kwestyi tunezańskie stało się starcie turecko-francuskie. Porta zamierzała podobno wysłać eskadrę na wody tunezańskie a nawet wojska do Tripolis, ambasador więc Francji oświadczył jej kategorycznie, że wysyłka floty do Tunisu uznana byłaby przez Francję za *casus belli*. Stąd nowa nota okólnikowa turecka jest zapowiedziana.

Polityka wewnętrzna państw europejskich pogrążona jest w chwilowej ciszy. Zaledwie pomniejsze luźne fakta domagają się zaznaczenia w politycznej kronice. Do takich należą: w Anglii wybór Salisburego na przywódcę torysów po Beaconsfieldzie i uchwalenie temu ostatniemu pomnika przez obie Izby parlamentu; w Austrii zaślubiny następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa z księżniczką Stefanią belgijską, które się odbyły w Wiedniu d. 10 b. m.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stowarzyszenia. Na posiedzeniu z d. 2. b. m. wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Krakowie postawiono wniosek, aby ze względu na to, iż konkurs dramatyczny nie odniósł żadnego rezultatu, gdyż ani jedna ze sztuk nadesłanych nagrodzona nie została, obrócić fundusz niezużytkowany na nagrodę konkursową za napisanie podręcznika historycznego dla młodzieży. Ponieważ procenty od funduszy konkursowych, z fundacyi Bredkrajca, mogą być obracane na nagrody konkursowe za prace historyczne, przeto zarząd Towarzystwa, zgadzając się w zasadzie na myśl podniesioną na przytoczonym powyżej wniosku, postanowił zająć się urzeczywistnieniem jej w jak najkrótszym czasie.

— Na posiedzeniu wydziału matematycznego Akademii umiejętności w Krakowie, odbytem w d. 20 z. m., sekretarz wydziału prof. Kuczyński przedstawił rozprawę Aug. Witkowskiego p. t. *O wpływie odkształcenia na przewodnictwo elektryczne*; prof. dr. Karliński zdał sprawę z pracy d-ra Ludwika Birkenmajera p. t. *O kinetycznej równowadze eliptycznej nieobrotowej pod wpływem grawitacji i siły odśrodkowej*. Następnie dr. Wierzejski wyłożył treść swej rozprawy: *O przeobrażeniu muchy Liponocera brevisrostris* Löw. Dalej dr. Wierzbicki zapoznał obecnych z treścią rozprawy swej p. t. *Ozon atmosferyczny i roczny ruch jego według dwudziesto-pięcioletnich spostrzeżeń obliczony*. W końcu prof. dr. Janczewski wyłożył treść swej rozprawy p. t. *O korzeniu jako organie przyswajania*. W dalszym ciągu posiedzenia wydział postanowił, aby z powodu że na ogłoszone pod d. 16 grudnia 1878 r. zadanie konkursowe z fundacyi Kopernika żadna praca nadesłana nie została, termin zaś nadsyłania rozpraw z dniem 15 stycznia 1881 r. upłynął, ponowić pierwotne zadanie: *Obliczyć tablice biegu planety Jutno* i termin przedłużyć po dzień 1 lutego 1883 roku.

Muzea polskie. W Krakowie w d. 28 z. m. pod przewodnictwem prezydenta miasta, d-ra Weigla, odbyło się zebranie komitetu muzeum narodowego. Obradowano nad projektem statutu, opracowanym przez podkomitet. Muzeum posiada obecnie 48 dzieł sztuki; z wyjątkiem jednego są to prace polskich artystów.

— Muzeum przemysłowe we Lwowie według sprawozdania za lata 1879 i 1880 miało 8,538 numerów przedmiotów w ogólnej wartości 45,266 złr. 53 c. Z tego przedmioty wystawowe na dziewięć grup podzielone wynoszą numerów 6,023, ocenione na 28,818 złr. 5 c.; biblioteka łącznie z rycinami, fotografiami i malowidłami olojnymi numerów 1,858, oceniona na 10,834 złr. 93 c.; monety, kamee i pieczęcie numerów 491, ocenione na 402 złr. 72 c.; ruchomości muzealne numerów 166, ocenione na 5,210 złr. 85 c. Nadmienić przytem należy iż w niektórych numerach inwentarza znajduje się po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt sztuk okazów, stanowiących jedną kolekcję, lub pewien przetwór fabryczny, co uwzględniwszy, ogólna cyfra przedmiotów muzealnych wyniesie około 10,000 sztuk.

Przy muzeum przemysłowym istnieje szkoła rysunków i modelowania, do której w ciągu dwu lat ostatnich uczęszczało uczniów i uczennic ogółem 319 osób.

Teatr. Przedstawiona niedawno na scenie Małego Teatru pięcioaktowa farsa pani Samolińskiej *Trzy flory*, zadaje kłam znanemu przysłowiu o ukreśnieniu bicia z piasku. Z małej pomyłki pana radcy, który pod wpływem spirytualnego zawrotu oświadczył się przez pomyłkę nie tej pannie Florze, której miał zamiar się oświadczyć, ale innej podobnej do jego bogdanki mieniem i toaletą, wynika mnóstwo zabawnych zawiślań, pomyłek i awanturek, a cała sztuka jest nieczem innem jak tylko prawdziwym *tour de force* sztuki farsowej, w której bohaterowie przeskoczywszy wielkie przeszkody, stają w końcu u zwykłej małżeńskiej mety. Sztuka ta odpowiada doskonale wszystkim warunkom farsy, biegnie żywo, bawi, śmieszy niekiedy do rozpuku, posiada czeredę postaci kreślonych w zamiesztych karykaturalnych konturach i parę bardzo zabawnych konceptów. Grało ją w ogóle żwawo i dzielnie. Pani Borkowska wyróżniła się z grona wykonawców bardzo typowym odtworzeniem flegmatycznej mamuni, okazując talent prawdziwy do ról charakterystycznych. Wesołość i humor panny Czaki i Micińskiej, panów Galasiewicza, Stromfelda, Grubińskiego i Sikorskiego odpowiadały bardzo dobrze charakterowi tej udatnej farsy.

Na scenie Teatru Rozmaitości odegrano komedye Blizińskiego p. t. *Mołkowe świąty*, przerobioną z dawniejszej *Chleb ludzi bodzie*. Mołko swata golemu paniczowi niby bogatą, a jak się okazuje biedną córkę dorobkiewicza, którą kocha skromny oficyalista. Operacja jednak nie udaje się i otwiera kochankom swobodną drogę do ołtarza. Komedya ta, mimo żwawości i gwaru, niższa jest od innych utworów utalentowanego pisarza. Aktorskie w niej laury zbierają głównie pp. Ostrowski i Waliszewski.

Na tejże scenie wystawiono dramat jednoaktowy naszego redaktora p. t. *Helwia*, osnuty na motywie chwilowego rozpiomnienia się młodej patrycyuszki do Cezara, który ją wygnaniem brata i narzeczonego z tej miłości leczy. Musimy pozbawić się prawa sądu o tej sztuce, pozwolimy sobie tylko zaznaczyć, że wykonanie jej było znakomitym popisem sił aktorskich. Panna Deryng i pani Rakiewicz, pp. Kotarbiński i Prażmowski, a nawet pani Nowakowska w roli niewolnicy, zasłużyli sobie na rześlisty okłask publiczności i wdzięczność autora. Prasa wyróżniła szczególnem uznaniem grę p. Kotarbińskiego, bo tryumf panny Deryng był w łańcuchu jej powodzeń ogniwem naturalnem.

— W *Comedie Française* wystawiono przed kilku dniami nową komedję w trzech aktach Edwarda Paillerona, p. t. *Le monde ou l'on s'enueie*.

— Celem zasilenia funduszu na wydawnictwo jubileuszowe dzieł Jana Kochanowskiego w jesieni r. b. będzie urządzone przedstawienie sceniczne, obejmujące niejako trzywiekowe dzieje teatru polskiego, poczynawszy od XVI stulecia.

Widowisko to składać się będzie: z tragedji samego Kochanowskiego *Odprawa posłów greckich* (wiek XVI), przy zachowaniu wszelkich cech zewnętrznych teatru storożynego; z komedji Piotra Baryki *Z chłopu król* (wiek XVII) i z komedji Franciszka Zabłockiego *Żółta szlafmyca* (wiek XVIII).

Przedstawienie *Odprawy* poprzedzi uwertura w stylu klasycznym, umyślnie na ten cel przez jednego z najzdolniejszych kompozytorów naszych napisana, tudzież obraz z żywych osób *Jan Kochanowski z Ursułą w Czarnym lesie*. Słowa chórów mają być również pod muzykę podłożone. Na zakończenie zaś wypowiedziany będzie epilog wierszem, w którym mają być streszczone działalność i stanowisko Kochanowskiego w życiu i literaturze, poczem nastąpi odsłonięcie popiersia poety, we właściwym oświetleniu.

Wyjaśnienie. Niedawno na podstawie *Dniew. Warsz.* pomieściliśmy artykuł o „Ulgach dla zesłańców.“ *Gazeta Polska* daje następujące wyjaśnienie tej sprawy:

„Przedewszystkiem wiedzieć należy, że wygnańcy, za sprawę roku 1863 zesłani, dzielili się na dwie zupełnie odrębne grupy, do pierwszej należeli szlachta i włościanie gubernii litewskich, którzy w całym swym składzie familijnym, z żonami, dziećmi i krewniakami, przesiedleni zostali, jedni do Rosyi, inni na Syberję. Tam dano im grunta, kazano je uprawiać, zabudować i zastrzeżono, że nigdzie z miejsc tych ruszać się nie będą mieli prawa. W wyrokach i w listach zesłańców nazwani zo-

stali wodworenicy, co znaczy stale osiedleni; nazwisko to w zbiorze praw jest nieznanie i nigdy do zesłańców stosowane nie było.

Do drugiej kategorii wygnańców politycznych należeli polacy, zesłani na Syberję za ostatnie wypadki ze skutkami kary wyraźnie przez prawo określonymi. Z samym upływem czasu stosownie do brzmienia artykułów, przechodzili z robót na osiedlenie, a następnie zaliczani zostali do kategorii chłopów państwowych. Najwyższe manifesta dość licznie wydane, czas owych zmian znacznie skróciły, już w roku 1818 prawie wszyscy zesłani do robót przeniesieni zostali na osiedlenie; wkrótce potem, osiedleńcy zaliczeni byli do kategorii włościan państwowych. Następny jeszcze manifest wrócił prawie całej masie wygnańców prawa stanu, pozwolił wszystkim zapisanym już do kategorii włościan, przenieść się do jednej z dziesięciu wskazanych gubernii rosyjskich; manifest z roku 1874 pozwolił osiadłym w Rosyi od lat dwóch wolnego ruchu po całym Cesarstwie i Królestwie Polskiem, z wyjątkiem gubernii południowo-zachodnich i stołecznych. Gdyby tedy zesłani mieli chęć i możność korzystania z manifestów, prawie wszyscy byłiby już w Królestwie; szczupły wyjątek stanowiliby tylko ci, którzy przysłani byli na Sybir bardzo późno, lub też za nowe przewinienie w Syberyi byli sądzeni.

Do tej to głównej grupy wygnańców, ulgi, o których donosi *Dn. Warsz.* stosowane być nie mogą, bo grupa ta posiada już daleko szersze prawa aniżeli wzmiankowane rozprządzenie przyznaje. W pomienionym artykule *Dniewnika* wyraźnie i kilkakrotnie powtórzono, że ulgi dają się *wodworenicom*, to jest owym przesiedlonym z Litwy włościanom i szlachcie zagonowej, o których żaden z cytowanych manifestów nigdy nawet nie wspominał.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Karł. w Żmerynce. Obserwarye pańskie są niedoładne, gdyż pierwszą dopiero reklamacyę od Pana odebraliśmy. *Historję Filozofii* zaś wysłano, dziś pierwsze zeszyty wysyłamy ponownie wraz z nr. 18, który również gdzieś przepadł.

P. W. S. w Warszawie. I po liście pańskim, jak przed nim, życzymy literaturze naszej serdecznie, ażeby kiedykolwiek miała takie „glupstwa“ własne.

PP. Lub. w Zawierciu, Kłop. w Charkowie i innym, którzy źle zrozumieli nasze ogłoszenie donosimy, że sześć arkuszy pracy Pypina jako bezpłatny dodatek za kwartał pierwszy rozesłaliśmy, drugie zaś sześć za kwartał drugi rozesłaliśmy dopiero w końcu tego lub na początku przyszłego miesiąca.

Panią Maryę Olszańską, która nam nadesłała do zamieszczenia inserat w sprawie familijnej wraz ze 100 rs. i którą uwidomiliśmy listownie, że on w tej formie drukowanym być nie może — prosimy o objaśnienie, co mamy zrobić z pieniędzmi.

OGŁOSZENIE.

KSIEGARNIA

EKSPEDYCJA PISM PERYODYCZNYCH, SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

oraz

MATERIAŁÓW PIŚMIENNYCH

JANA WOLFFA

W KOWNIE

przy ulicy Petersburskiej dom Pojarkowa dawniej Rittlera.

Nowo otwarta d. 1 grudnia 1880 r., dostarcza po cenach warszawskich wszelkie dozwolone dzieła przez Cenzurę Rządową, wychodzące w kraju i zagranicą w rosyjskim, polskim, francuskim i niemieckim języku. Posiadając na składzie wielki wybór materiałów piśmiennych, poleca takowe po cenach stałych, stosunkowo nadzwyczaj tanio. Przyjmuje prenumeratę na wszelkie pisma krajowe i zagraniczne oraz zamówienia z prowincyi, w zakres działalności księgarskiej wchodzące, które skutecznie odwrotną pocztą. Wypisujący nót lub książek naraz za rs. 5 kosztów przesyłki nie ponoszą; przy księgarńi znajduje się biblioteka, posiadająca przeszło 1,000 tomów ostatnich powieści. 5—6